

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 7. X. 1951 r.

Nr. 40 (322)

MARIA ŻMIGRODZKA

PROLETARIAT PISZE SWOJĄ HISTORIĘ

Proces kształtowania się powieści realizmu socjalistycznego, jak wszystkie wielkie procesy kulturalne, przebiegał w sposób skomplikowany i wciągał doświadczenia i osiągnięcia wielu dziedzin piśmiennictwa. Zmierzając do stworzenia literackiej syntezy epoki, żywi się sokami różnorodnych zapisów tych elementów nowego, jakie jesteśmy w stanie dostrzec w tej chwili. Powstawanie powieści realizmu socjalistycznego zostało podporządkowane naczelnym zasadom kultury walczącego proletariatu — przedstawicieli podstawowych mas narodu — jest już u nas dość poważna. Jeśli chodzi o pamiętniki robotnicze — ściśle biorąc pamiętnik działacza robotniczego — to wiąże się on nierozłącznie z powstaniem robotniczego państwa, które zdejmując pieczęć milczenia z ust bohaterów pracy konspiracyjnej oraz pozwala ujawnić się i zapanować zduszonemu nurtowi kultury klasy uciskanej. I tak w okresie międzywojennym tylko w Związku Radzieckim na szerszą skalę mogły się ukazywać pamiętniki polskich proletariuszy, wśród nich — najciekawsze

innego nurtu naszego piśmiennictwa robotniczego, który reprezentują: „Dziecko ulicy” Izidora Koszykowskiego i „Strajk albo nie strajk” Pawła, a ostatnio „Ludzie i nieludzie” Witkowskiej. Są to głosy z dna nędzy lat głodu i kryzysu, gorzkie i nabrzmiałe żywiołowym buntem trudnych do zdefiniowania rzesz wyrobniczych, koczujących gdzieś na pograniczu lumpenproletariatu i drobnomieszczańskich dołów, proletariatu wiejskiego, przemysłowego i chałupników. Umiły one wyrazić tylko nędzę i poniżenie, zwierzęce warunki bytu mas ludowych w społeczeństwie klasowym — a z drugiej strony trudne bohaterstwo ich codziennej walki o życie, ich prawdziwy ludzki humanitaryzm ocalony z dna, na które spychał ich strój. Stąd naturalistyczna rejestracja często ruguje realistyczny i pogłębiający obraz, stąd w żywiołowych wybuchach gniewu brak mądrej dyscypliny i przenikliwej myśli partyjnej, stąd obraz rzeczywistości jest wąski i ubogi. Ta historia klasy robotniczej, pisana rękami jej przedstawicieli, gromadzi głównie materiał, dostarcza danych i faktów — sformułowania jej i uogólnienia zbyt są ubogie, by mogły w tym kształcie stać się kartami wielkiej historii proletariatu.

Istnieje jednak w omawianym dziale naszej literatury grupa trzecia, zbliżona swym charakterem do tego typu piśmiennictwa robotniczego, jakie postuluje Gorki, inicjując pracę nad „Dziejami fabryk i zakładów”. Tu, zaliczyć należy w pierwszym rzędzie życiorysy zamieszczone w „Bibliotece przodowników pracy i racjonalizatorów” — rysujące drogę, jaką przeszli ci czołowi przedstawiciele klasy robotniczej, doświadczenia polityczne i fachowe, jakie wiodły ich do pozycji pracownika twórczego, aktywnie wyszukującego swe umiejętności dla usprawnienia pracy swojej i swych towarzyszy, dla podniesienia jej na wyższy, socjalistyczny poziom. Życiorysy te, pisane przez ludzi nie mających szerszych ambicji kronikarskich czy literackich, nie dorastają nawet w przybliżeniu do szerokości i bogactwa losów bohatera „Starego i nowego”, do typowości i poznawczych walorów obrazów Lucjana Rudnickiego.

Jednakże właśnie te wspomnienia dostarczają mogącej najwięcej i najcenniejszego materiału wielkiej „historii proletariatu”. Tu bowiem mówią czołowa klasa — mówią ci, którzy reprezentują jej mądrość i jej świadomość. I do mówienia tego należą ich stałe zachęcać. Należy rejestrować doświadczenia podstawowych mas narodu, wzmacniać nurt tego najprawdziwszego „dopływu” literatury realizmu socjalistycznego.

W Związku Radzieckim praca ta walczy klasy robotniczej i powstania

ma już charakter zorganizowany. Istnieje bogaty i ciekawy nurt piśmienniczy — od podjętej przez Gorkiego inicjatywy spisania historii państwa proletariackiego czy dzieł radzieckich zakładów pracy — poprzez liczne wspomnienia z czasów wielkiej wojny z faszyzmem, spisywane przy pomocy fachowych pisarzy — aż do najnowszych publikacji, jak wydany ostatnio w przekładzie polskim zbiór pt. „Wychował nas Stalin”, zawierający wspomnienia i wypowiedzi robotników — laureatów nagród Stalinowskich.

W Polsce obok „Biblioteczki racjonalizatorów i przodowników pracy” i wspomnień robotniczych pisanych na ogólne konkursy należy wskazać jeszcze na książkę J. Boka „Na Uralu”. Bok poznając w czasie swej wojennej pracy murarskiej w Związku Radzieckim kraj socjalizmu, dojrzałw jednocześnie ideowo i politycznie do pozycji, z których mógł ocenić w pełni osiągnięcia i styl życia człowieka radzieckiego, z których mógł w szeregu scenek i obrazków wspomnieniowych przekazać wiele różnorodnych typów ludzkich i sytuacji, zawierających realistyczny skrót dostrzeżonych przez autora cech nowego życia w Kraju Rad.



mal. E. M. Czepcow

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Postać robotnika

„Głównym bohaterem naszych książek powinna być praca czyli człowiek, który u nas uzbrojony w całą potęgę techniki współczesnej jest organizowany przez procesy pracy i koleje organizuje pracę, czyni ją łatwiejszą i wydajniejszą, podnosi ją do poziomu sztuki. Musimy nauczyć się pojmować pracę jako twórczość”.

Te słowa wyszły z ust Gorkiego na pierwszym wszechzwiązkowym zjeździe pisarzy radzieckich w r. 1934. Ale nie były one czymś nieoczekiwanym, oświełaty tylko jasniej i szerszej drogę, która już istniała, na której „inżynierowie ludzkich dusz” stawiali pierwsze kroki.

U Majakowskiego robotnicy, ładowacze drzewa na kolei, na pytanie „co wy robicie?” — odpowiadają:

— Co?
Socjalizm:
swobodny trud
Swobodnie
zrzeszonych ludzi.

Październik wyzwolił nowe twórcze sity w masach pracujących. Robotnik zahartowany w walkach rewolucji, okrzepły ideologicznie wieść, że powstanie socjalizm w ZSRR zależy od jego wkładu w budowę ogólnego dzieła, a więc od jego pracy.

10 maja 1919 r. pojawiają się pierwsze „komuny robotników”. Zorganizowali je niewykwalifikowani robotnicy, kolejarze moskiewsko — kazańskiej kolei.

Mróz trzaskający
Zima niczego.
A bluzy się lepia od potu.
W bluzach komunistów
Ładują drzewo.
Czas:
popołudnie.
Sobota.

Oto początek wielkiego proletariackiego procesu pracy, tej pracy, która stała się sprawą honoru, męstwa i bohaterstwa. Fragment cytowanego wiersza pochodzi z poematu Majakowskiego „Dobrze”. Właśnie Majakowski jest w literaturze radzieckiej pierwszym piewą socjalistycznej pracy.

Ale podnosząc wysiłek twórczy, mówiąc o śmiatych poczynaniach i zdobywaczach ludzi pracy Majakowski rzuca manifestując i postuluje. Realna żywa postać robotnika zjawia się na stronicach twórczości radzieckiej później — i to na stronicach prozy. Pierwsze formy socjalistycznego współzawodnictwa, zapoczątkowane w okresie I stalinowskiej pięcioletki (1928 — 32), ruch brygad szturmowych (udarników), podniesienie kultury mas pracujących i kwalifikacji zawodowych (techniki i kadr) rozwinęły i kształtują nowe ludzkie charaktery. Temat ten zapłania piśnierz. Od 1924 powstają powieści, opowiadania, powieści i patos twórczej pracy robotnika, nowy stosunek do pracy, nowe rysy charakteru świadomego, ofiarnego budowniczego socjalizmu. „Cement” i „Energia”

F. Gładkowa, „Hydrocentrala” M. Szaginiana, „Soc” L. Leonowa, „Nie przerywając tchu” I. Erenburga, „Czasie napróżd!” W. Katajewa, „Stonieczne miasto” W. Sienkowa.

Człowiek — uczestnik pracy zespołowej, twórcą życia społecznego, przywódcą i organizatorem mas ludowych, budowniczym socjalizmu staje się głównym bohaterem radzieckich książek.

31 sierpnia 1935 roku rebase z Donbassu Aleksy Stachanow, wydobył w ciągu zmiany zamiast obowiązującej normy 7 ton węgla — 102 ton. W następnych dniach podwyższył wydobyte węgla do 227 ton w ciągu jednej zmiany. Ruch stachanowski zapłodził żywo talent piśnierz, pozwolił ukazać nową problematykę pracy człowieka radzieckiego: walkę o zorganizowanie brygad, znacznie wysoko kwalifikowanych kadr w oparciu o rewolucyjną technikę, obalenie starych norm i walkę o nowe, zaczerpienie różnic między pracą umysłową i fizyczną, a więc powstawanie warunków przejścia od socjalizmu do komunizmu.

Bohater pierwszych powieści „stachanowskiej”, „Starek Derbent” K. Krymowa ucieleśnia po raz pierwszy zasadnicze cechy nowatorskiego ruchu stachanowskiego: umiejętność w prowadzeniu czynności inicjatywy twórczej do pracy fizycznej, wytrzymałość, zręczność, hart w przełamywaniu trudności, zdolność porównywania za sobą ogółu pracujących. J. Krymow pokazuje jednocześnie przeszkody, na jakie napotyka ruch stachanowski: obojętność biurokratów, nie dość pewna wiara załogi we własne siły, obawa wobec najbliższego otoczenia. Walka nowego ze starym pozwala Krymowowi odnaleźć jednoznaczne konflikty w każdej dziedzinie życia bohatera. Mechanik Basow (on tu jest główną postacią) naraża się przez swoją rewolucyjność zasiadającej administracji, traci przejściowo miłość kochanej kobiety, staje się ofiarą zawiści i złośliwości otoczenia, nie rozumiejącego jeszcze znaczenia ruchu stachanowskiego. Dopiero uratowanie pionącego statku, skupienie do tego celu wszystkich sił załogi, umiejętność zorganizowania (czy wywołania) zbiorowego męstwa, przywraca mu zachwiany autorytet, a w dalszym biegu wypadków miłość żony.

„Starek Derbent” (1935/36) pokazuje, jak się winno podnieść współzawodnictwo pracy poprzez znajomość ludzi przez miłość i zapal. Toteż książka ta odegrała dużą rolę w mobilizowaniu świadomości czytelników, a również pchnęła naprzód rozwój powieści o ruchu stachanowskim. Tworząc postacie stachanowskie, odtwarzając ich głębokie wewnętrzne piękno, uczucie miłości do socjalistycznej ojczyzny, bezwzględne oddanie sprawie — literatura radziecka tym samym spełnia i spełnia olbrzymią rolę wychowawczą.

Wielka Wojna Ojczyźniana dała bohaterom powieści stachanowskich

(Dokończenie na str. 2)

Rzeźba głowy W. Pszrowskiego ustawiona w hallu sanatorium dziecięcego w Rabce foto WAF

tariatu: dialektycznej obserwacji rzeczywistości, twardego doświadczenia walki klasowej, twórcemu marzeniu człowieka zmieniającego oblicze świata. Zasady te przekształciły twórczo najlepsze, najbardziej postępowe i odkrywcze w poszukiwaniu prawdy o świecie i człowieku tradycje tego gatunku.

Z jakich jednak własnych, klasowych tradycji literackiego zapisu czerpie literatura realizmu socjalistycznego? Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić piśmiennicze zapiski działaczy robotniczych i to zarówno bojowników dnia wczorajszego, jak i współczesnych budowniczych socjalizmu, oraz — w pewnym miarze — reportaż, gatunek, wyrosły co prawda na gruncie burżuazyjnym, lecz w kulturze socjalistycznej przekształcony w istotny sposób i postawiony dopiero wobec właściwych możliwości rozwojowych.

„Widzisz, poezja jest dzisiaj jak rzeka, co zbiera dopływy. Jej mowa, która służyła aniołom, nie maszynistom, uczy się znaków i krede kruszy na twardej tablicy”.

(Mieczysław Jastrun).

Pamiętnik chłopca i robotnika, autobiografie przedstawicieli mas ludowych, to jeden z najistotniejszych dopływów, które wzmocnić muszą wielką rzekę literatury, by odtąd mowa jej służyć mogła maszynistom dziejowych przemian.

„Proletariacką literaturę piękną, jak ją rozumiał Włodzimierz Lenin, możemy stworzyć jedynie w oparciu o żywe, stale rozwijające się doświadczenia masowej twórczości” — pisał Gorki w artykule „O pracy nad Dziejami fabryk i zakładów”. Inicjując szeroko zakrojoną akcję zbierania danych do historii proletariatu Związku Radzieckiego, Gorki podkreślał, że będzie to w założeniu „historia rewolucyjnej świadomości klasy robotniczej, historia uświadamiania sobie przez nią własnej sily”. To zagadnienie jest osi, głównym problemem istniejących pamiętników robotniczych, zasadniczym kryterium oceny ich ideowej i artystycznej wartości.

Tradycja pamiętników chłopca czy

chyba zjawisko tego typu — „Pamiętnik starego robotnika” Olbrzymka. W Polsce Ludowej mamy do czynienia nie tylko z masowymi akcjami, mającymi na celu szerokie wciągnięcie proletariatu do pracy nad przygotowaniem bogatej dokumentacji studiów nad historią klasy robotniczej — jak pamiętniki robotników z czasów okupacji, czy nowszy konkurs Polskiego Radia na pamiętnik robotniczy. Ukazało się także w tym zakresie wiele publikacji książkowych rozmaitego typu. I tutaj za kryterium klasyfikacji posłużyć może moment „rewolucyjnej świadomości klasy robotniczej”. W zależności od niej oceniamy będziemy poszczególne pozycje. Grupa niewątpliwie najcenniejsza stanowić tu będą prace wybitnych działaczy robotniczych — wzmiankowane „Wspomnienia” Olbrzymka i książka, która stała się już klasycznym dziełem tej gałęzi literatury — „Stare i nowe” Lucjana Rudnickiego.

„Dotychczas historię pisali uczeni specjaliści, podobnie jak duchowni tworzyli żywoty świętych — historia pisana była dla umocnienia wiary, że klasy rządzące są powołane do kierowania losami i pracą ludu pracującego. Teraz nastal czas, gdy wy, towarzysze, tworząc nową historię sami powinniście ją pisać z pomocą tych samych rąk i rozumu, które uczyniły was gospodarzami olbrzymiego i bogatego kraju” — pisał Gorki w związku ze sprawą „Dzieł fabryk i zakładów”. Olbrzymek i Rudnicki pisali historię, którą współtworzyli z pełną świadomością klasową, z doświadczeniem bojowników, uzbrojeni w teorię marksizmu-leninizmu, pozwalającą odszukać sens historii w rojowisku spraw ludzkich. Autobiografia Rudnickiego miała w założeniu już charakter literacki — szerokość i bogactwo obrazu życia; ludowe tradycje gawędziarstwa wzbogacając artystycznie jej walory ideowo-poznawcze, czynią z niej jedną z najcenniejszych pozycji powojennej literatury, książkę w całym tego słowa znaczeniu przełomową, wytyczającą ścieżki pięknej „proletariackiej literaturze pięknej, jak ją rozumiał Włodzimierz Lenin”.

Braki „rewolucyjnej świadomości klasy robotniczej” legły u podstaw



„Robotnik” (przed laty) mal. Stanisław Lenc

PROLETARIAT PISZE SWOJĄ HISTORIĘ

(Dokończenie ze str. 1-ej)

cka, które na próżno usiłuje utrzymać się w szkole, aż zmuszone szukać nauki i fachu w twardej szkole życia wędruje do miasta, szukając znośniejszych warunków pracy i możliwości zdobycia jakichś kwalifikacji zawodowych. Brak stałego miejsca zamieszkania, to wólcza murarza, gnanego nie tylko sezonowością kapitalistycznej pracy budowlanej — ale i bezrobociem, wyzyskiem i szukaniami majstrów, wręczcie mściwością przedsiębiorców, którym umiał wydrzeć część zysków, kalkulowanych w nadziei na niezaradność i ostateczne zgębienie proletariatu. Brak stałego miejsca zamieszkania, to udręka ojca rodziny, który najcięższą pracą nie był w stanie zapewnić dzieciom dachu nad głową i minimum egzystencji ani na prowincji, ani w Warszawie. Brak stałego miejsca zamieszkania, to troskliwość państwa policyjnego, które działaczowi robotniczemu usiłowało



Michał Krajewski

zapewnić, jeśli nie stały, to przynajmniej dłuższy pobyt w więzieniu dla politycznych. To konieczność opuszczenia własnego kraju i szukania schronienia przed obcym i „swolm” faszyzmem na gościnnej ziemi radzieckiej, która uczyła doświadczonych socjalistycznej budownictwa. To wrzesień droga oficera I-szej Armii, który wrócił na swoją ziemię, wypierając z niej krok za krokiem cofającego się wroga. Protokół życia Michała Krajewskiego uprawnia go do ubiegania się o tytuł obywatela socjalistycznej Warszawy, „stałego miejsca zamieszkania” polskiej klasy robotniczej, o której walczył, który wznosił pracą swoją ręk, wysiłkiem działacza i agitatora.

Poczucie wysokiej godności pracy proletariatu wyrosło w życiu Michała Krajewskiego z doświadczeń człowieka, który próbował wielu zawodów i form pracy, odrzucając z niechęcią te, które w społeczeństwie klasowym poniżają i deprawują pracownika. Pozbawiony opieki czternaścieletni chłopiec porzuca łatwą i dość intratną pracę pikolaka oraz dom zyciowych mu ludzi, gdyż poniżają go łapówki, mężcy konieczność służalstwa i „zawodowej” pokory. Walka o ludzką godność wyznacza etapy jego pobytu w służbie dworskiej. Ale nie wabią tego chłopca uroki drobnomieszczańskiego dorobku, jakie nasuwa służba u kupca. „Zastójka mnie perfidia małych i większych skrobogroszów... Zastójka mnie ponadto monotonia ciutactwa, przy chęci pokazania się jedynie z okazji świąt”. Ciężki, wyczerpujący fizycznie, opłacony głodowymi stawkami okres pracy na budowie w charakterze pomocnika murarskiego traktował natomiast Krajewski jako niewątpliwą awans społeczny: „Zarobionych pieniędzy miałem akurat na bilet do Sandomierza i na paczkę tytoniu. Na żadną szkołę zrobić się nie dało. Ale praca na budowie sama przez się była doskonałą szkołą i egzaminem wstępnym do klasy robotniczej. Cudem się dumny ze swojej nowej pozycji społecznej, chociaż tyle tylko w tych czasach wiedziałem, że dzieje się ze mną i z wieloma ludźmi niesprawiedliwość.”

Etapy zdobywania kwalifikacji zawodowych w murarce to jednocześnie etapy walki o utrzymanie się na powierzchni życia i idącego z tym w parze wzrostu świadomości klasowej. Wspomnienia Krajewskiego ukazują, jak młgliste poczucie „niesprawiedliwości” przeradza się powoli pod naciskiem rosnącego wyzysku i faszystowskiego terroru w świadome, skonkretyzowane, dojrzałe polityczne i rozumienie konieczności walki. Etapy rosnącej świadomości rewolucyjnej Krajewskiego mają znowu charakter typowy: dorywcza pomoc w robocie KZM-u, do której młody proletariusz przystąpił „powodując się raczej instynktem niż rozumem”, staje się bardziej świadoma dzięki lekturze prasy nielegalnej, dzięki praktyce w klasowym związku zawodowym czy na robotniczej demonstracji. Okres legalnej pracy oświatowej w OM TURZ-ze stał się również świetną szkołą walki klasowej na płaszczyźnie kulturalnej, z której później officer polityczny I-szej Armii wyniósł wiele praktycznej umiejętności walki z kulturowym wstępnym, „Polityczna matura”, wg określenia Krajewskiego, to zorganizowana przez niego

rozprawa z okradaniem robotników Stalowej Woli przez przedsiębiorców, wypłacających kopaczom stawki dużo niższe, niż figurujące w oficjalnych spisach. Ta „matura”, zdawana przy pomocy działaczy KPP-owskich, zakończyć się musiała „studiami uniwersyteckimi” w więzieniu rzeszowskim i tarnowskim, które Krajewski, jak wszyscy niemal więźniowie polityczni, wyszukał na pogłębienie swego wykształcenia politycznego i ogólnego. Wobec takiego „przygotowania” nie wydaje się dziwnym fakt, że Krajewski tak twórczo potrafił wyzyskać pobyt w Związku Radzieckim i wynieść tyle korzyści ze swych „studiów najwyższych”, studiów życia kraju socjalizmu.

Życie Michała Krajewskiego, człowieka walczącego zawsze o prawo do nauki i czerpiącego ją przede wszystkim z trudnej szkoły walki klasowej — to życie, które pamiętnikarzowi daje bogaty i piękny materiał, pozwalający zapisać wiele kart w historii klasy robotniczej. A jednak „Miejsce stałego zamieszkania” możemy w ostatecznym obrachunku traktować tylko jako napisany bardzo dobrze, o wiele lepiej ponad przeciętną poprawność, dokumentalny obraz życia robotnika polskiego w okresie 20-lecia. Książka nie sięga wartości „Starego i nowego”; czytelnik zamyka ją z pewnym żalem w stosunku do autora, że tak mało wykorzystał możliwości nasunięte mu przez bogate doświadczenia życiowe. Różnica nie leży wyłącznie w skali możliwości literackich świetnego pisarza L. Rudnickiego i Michała Krajewskiego, kreślącego swą pierwszą pracę na marginesie licznych zajęć i trosk działacza politycznego. W książce Krajewskiego istnieje wiele ciekawych literacko ujęć, jak np. niewątpliwie dobry pomysł, zawarty w tytule książki, wiele żywych scenek z okresu walki politycznej, czy pełen humoru gawędziarski ton relacji o pierwszych latach dzieciństwa. Jednakże te momenty są rzadkie, nie utrzymywane należyście na przestrzeni całej książki. Zbyt często sucha, ogólnikowa relacja zastępuje szerszy obraz, czy bardziej wnikliwą analizę zjawiska. Jest to skutek zaniedbania zarówno autora, jak i wydawnictwa, które nie umiało przekonać Krajewskiego o konieczności szerszego opracowania pewnych spraw w interesie zarówno samej książki, jak i czytelnika. Z pewnością do najbardziej pasjonujących partii opowieści mogłoby należeć opis strajku kopaczy w Stalowej Woli i strajku chłopskiego, gdyby autor sumiennie rozpracował ten temat i zbliżył go poprzez zarysowanie sylwetek rosnących w strajku „rekrutów” walki klasowej, o których wspomina tylko pobieżnie w ogólnikowym opowiadaniu. Materiału tego nie należało uszczuplać, — zwłaszcza, że szereg elementów książki zdaje się wskazywać, iż autorowi nie zabrakło możliwości wzbogacenia i rozszerzenia swej opowieści.

Według informacji wydawnictwa Michał Krajewski pracuje nad drugą częścią książki, która zobrazować ma jego doświadczenia w czasie pobytu w Związku Radzieckim i okres powojennej pracy na budowach Warszawy. Wartość tej części zależeć będzie w dużej mierze od tego, czy autor przełamie powściągliwość i nieśmiałość pióra, brudzącą mu tak często w „Miejscu stałego zamieszkania”.

Maria Żmigrodzka.

BRONISŁAW CIRLIĆ

KRWAWY WRZESIEŃ W LITERATURZE BULGARSKIEJ

JERZY LITWINIUK

UPIORY

Z piętrem zatrały i hańby,
a jednak —
szli ulicami Warszawy
ślepi od nienawiści.
Nie dla nich
blaski latarni,
polot Nowego Świata,
białość świeżego tynku,
nie dla nich poryw rusztowań
pietyzm Starego Rynku,
szli tedy,
bo kazano
człowieka
zlikwidować.
Nie do nich
spoza witryn
wołały nowe książki.
Ich przekonały dobitniej
złote, błyszczące krawki.
Nie do nich
mógł przemówić
afisz nowego teatru,
bulgot Wisły pod mostem,
drzewko przysięgłe od wiatru,
świeżo zasiana trawa,
próbna studzienka Metra —
dla nich
Warszawa
to tylko
tyle a tyle metrów,
tyle a tyle kroków,
bram zwykłych
i przechońskich,
tyle a tyle wyroków
i możliwości zbrodni.
Błąkali się
po omacku,
a każdy obłędnie roil,
że jest
ziarenkiem piasku
w żelaznych trybach historii.
Na rozkaz
rozjątrzonych
władców kaukazu i ropy,
chłostanych szyderstwami,
rżonych ogniem prawdy,
Najciaśniejszy zaścianek,
najciemniejsze podziemie
miało
kulę
zagłuszyć
Fale 49.
Zgrzytali zębami,
gdy mówili
były akowice wileńskie.
Niby podzwonne dla nich
brzmiał jego sarkazm zwycięski.
Gromieni
naszą budową,
ofiarnym trudem
i troską
znaleźli wrzesień odpowiedzi.
Jedną.
Faszystowską.
„Tu mieszka Stefan Martyka?”
„To ja”.
Rzygnęli ołowiem.
Na posterunku padł człowiek.
Zastąpił go drugi człowiek

Postać robotnika

(Dokończenie ze str. 1-ej)

W powieści W. Popowa „Stal i żelazo” komсомолcy z majstrzem Szatolowem na czele postanawiają, że pozostaną przy martwie i będą pracować również podczas nalożów. W ten sposób we wszystkich hutach Zagłębia Donieckiego powstały grupy „szatolowców”, które nie zaprzestały pracy podczas bombardowania. Bohaterowie książki mówią:

„Na froncie w czasie bombardowania czerwonoarmieści nie opuszczają przeciwień okopów? A czyż tu u nas to nie ten sam front?”

Powieści tego okresu: wymieniony Popow, „Daleko od Moskwy” — Aza-jewa, „Górnicy” — W. Igiżewa, „Przysięga” — Gladkova i inne odmalowują postać robotnika — nieustraszonego żołnierza i wielkiego patriotę. Z tego źródła płynęło radzieckie zwycięstwo.

„Charakter radziecki — mówi jeden z bohaterów wojennych powieści robotniczych — można zrozumieć, gdy się go ogląda ze wszystkich stron jak klejnot. Wtedy widzi się to, co w nim najważniejsze, co z niego przede wszystkim promieniuje — o-fiarne umiłowanie ojczyzny.”

Obecny okres — wyjątkowej walki o pokój, przechodzenia z etapu socjalizmu na komunizm — stawia przed pisarzami nowe zadania. W trosce o wyższy poziom twórczości, o pełniejszy, bardziej odkrywczy typ robotnika w powieści. Krytyka radziecka nie szczędzi literatom słów

zachęty, pomocy, no i zyciowej krytyki.

I. Irosznikowa w artykule pt. „O obrazie robotnika w księgach naszych dni”, wydrukowanym w nr 96 „Literaturny Gazyet” przedstawia białe dziesięć powieści radzieckich na tematy robotnicze, omawia plusy i minusy.

Plusy: pokaźna ilość książek, do-wód zainteresowania literackich. „Stachanowcy” P. Szewunina, „Wysokie stanowisko” N. Jewdokimowa, „Ku szczytom” A. Rygaczowa, „Don-bass” B. Garbatowa, „Stalinowski laureat” I. Goriłika.

Minusy: I. Irosznikowa zarzuca autorom schematyzm. Ogólnie stosowana reguła: nowator (nowatorska idea), przeszkody (techniczne lub konserwatywne), proces pokonywania przeszkód, zwycięstwo nowatora. Wedle tego klucza piszą literaci, tymczasem szampa dawno już zwier-trzała. Przeciwnikiem nowatora bywa zazwyczaj konserwatywa. W tej roli występuje albo in-żynier albo majster, albo ktoś z ad-ministracji. Ale czy to odpowiada prawdzie życia? — pyta krytyk radziecki. Przeciwnie. Na każdym kroku widzimy, że kierownik inżynier sprzągający iskry nowego usiłuje rodmuchać ją w promień. W fabrykach, w związkach mocno weszła w życie współpraca nowatorów i inżynierów, współpraca wzbogacająca obie strony! Tym bardziej, że są już nowi inżynierowie — inteligencja klasy robotniczej.

Irosznikowa wypowiada przekonanie, że konflikt między robotnikiem nowatorem, a konserwatywnym in-żynierem utracił swoją żywotność i

ny do opuszczenia Bułgarii, pozosta-wił jednak następcę — syna Bory-sa III. Ster rządu przejął Aleksan-der Stambulijski, przywódca Buł-garskiego Stronnictwa Ludowego (BZNS). Wzrósł w tym czasie ogrom-nie wśród mas pracujących autor-tytet Bułgarskiej Partii Komunistycz-nej, zrzeszającej pod swoimi sztandarami proletariat miejski, część biednych i średnich chłopów oraz odłam inteligencji pracującej. Prze-rażone wzrostem sił demokratycz-nych, który ujawnił się w wyborach 1920 i 1923 roku, monarchofaszy-

stowskie sfery wojskowe i burżuazja bułgarska nie rezygnowały z walki o władzę. Przygotowawszy potajem-nie specjalne bojówki szturmowe, przy poparciu kontrrewolucyjnych organizacji, reakcyjnego korpusu oficerskiego, macedońskiej nacjona-listycznej organizacji terrorystycz-nej, przywódców partii socjaldemo-kratycznej i rosyjskich białogwar-dzistów, którzy po zwycięstwie Re-wolucji Październikowej znaleźli schronienie w Bułgarii, — reakcja bułgarska sięgnęła po władzę doko-nując przewrotu 9 czerwca 1923 r. Rząd Stambulijskiego został obalo-ny, sam zaś Stambulijski bestialsko zamęczony. Rozpoczęły się krwawe rządy dyktatury faszystowskiej z królem Borysem III i nowym pre-mierem, prof. Cankowem na czele. Początkowo KC Bułgarskiej Partii Komunistycznej, nieufnie ocenia-jąc przewrót jako rozgrywkę pomię-dzy miejską i wiejską burżuazją, ogłosił neutralność. Ale pomoc Mię-dzynarodówki Komunistycznej i roz-wój sytuacji wewnętrznej przyczyni-ły się do szybkiego zrozumienia popełnionego błędu.

Wśród poszukiwanych przez po-lację znajdował się również Georgi Dymitrow. Przekonany o konieczno-sci stawienia czynnego oporu reakcji, G. Dymitrow w szeregu ataków mowywał potrzebę utworzenia an-tyfaszystowskiego jednolitego fron-tu ludu pracującego. Tę samą linię postępowania nakreślono i w liście KC KPB do socjaldemokratycznej partii Bułgarii, w którym wyzwa-ano ją do wspólnego przeciwstawie-nia się pochodowi faszyzmu, „zagro-żającemu najszybszym interesom mas pracujących, do walki z reakcją kapitalistyczną i faszyzmem, które zagrożają prawom i swobodą politycznym oraz życiu ludu pracują-cego... do utworzenia zjednoczonego rządu robotniczo - chłopskiego, będącego wyrazicielem woli olbrzymiej większości narodu bułgarskiego oraz obrońcą jego interesów”. Socjaldemokraci propozycję tę odrzucili. W kierownictwie KPB zaczęła dojrze-wać myśl o powstaniu. Rezolucja KC KPB z sierpnia 1923 r. głosiła, iż „przewrót czerwcowy stanowi kry-zys w walce o władzę, wynikiem któ-rego nie może być nic innego, jak zbrojne powstanie mas w imię rządu robotniczo - chłopskiego”. W myśl tej rezolucji postanowiono przys-tąpić do przygotowania walki zbroj-nej, występując z hasłem utworzenia jednolitego frontu mas pracujących. Wtedy rząd faszystowski postanowił zdecydowanie rozprawić się z Partią Komunistyczną. Dnia 12 września 1923 roku policja dokonała maso-wych aresztowań wśród komunistów na terenie całego kraju, wzrosła fala terroru. Większość KC KPB opowie-działa się już stanowczo za powsta-niem i ustaliła datę jego wybuchu na dzień 23 września 1923 roku.

Mimo poświęcenia i bohaterstwa bojowników, powstanie wrześniowe zostało krwawo stłumione. Georgi Dymitrow oceniając ofiary terroru po stłumieniu powstania i w ciągu następnych dwóch lat na z górą trzy-dziesiąt tysięcy ludzi, mówił przed trybunałem lipskim: „Jestem dżim-ny z tego bohaterskiego powstania. Zastuję tylko, iż ja i moja Partia nie byłymy jeszcze wtedy prawdziwymi bolszewikami... Partia jednak wy-ciągnęła z niego krwawą naukę i wykorzystuje ją w dalszej walce wyzwolenczej bułgarskich robotni-ków i chłopów, którzy pod jej kie-rownictwem, pocięni wielkim do-wiadczeniem powstania wrześnio-wego, kroczą wciąż naprzód do ostatecznego zwycięstwa”.

Znaczenie zaś i wpływ powstania wrześniowego na społeczno - polityczne życie Bułgarii, mimo niepowo-dzenia, były ogromne. Nic nie zdoła-ło wyrównać przepaści dzielącej masy ludowe od reakcji faszystowskiej. Przyczyniło się ono ogromnie do wzrostu świadomości klasowe-go wśród robotników i chłopów. Już w roku następnym po upadku po-wstania zjednoczony front proletari-atu i chłopstwa otrzymał 300.000 głosów w wyborach do parlamentu. Wobec ustawicznego wzrostu jego sił, rząd monarcho - faszystowski zdo-bił się na jeszcze jeden pogrom w kwietniu i maju 1925 r. W wyniku doświadczeń krwawego wrze-sińa, mimo niesłabnącego terroru sołusz robotniczo - chłopski stał się wzmocniony i doprowadził do utwo-rzenia Frontu Ojczyźnianego i histo-rycznego zwycięstwa mas ludowych w dwadzieścia lat później — do ra-dosnego 9 września 1944 roku.

2.

Większość pisarzy bułgarskich ży-wo współczuła ofiarom powstania z 1923 r. i cierpieniom mas ludowych, wyrażała podziw dla ich bohater-stwa i równocześnie ostry protest przeciwko okrucieństwu faszystów, chociaż nieraz groziło to prześlado-waniem, więzieniem, torturami i śmiercią. W ciągu blisko dwudziestu lat, w warunkach ciężkiego, bez-względności ucisku faszystowskiego, poza nielicznymi wyjątkami, pisarze bułgarscy opowiedzieli się po stronie powstańców. Jako jedne z pierw-szych, tematyce związanych z wydarzeniami wrześniowymi, nale-ży wymienić utwory Mikołaja Fur-nadżiewa, Asena Razwetnikowa, Angeli Karalijczewa, Kamena Zida-rowa, Kruma Welkowa, Geo Milewa, Stanimirowa Lilljanowa, Enzo Staj-kowa, Antona Strazymirowa, Lud-miła Stojanowa, Orlina Wasylewa, Jordana Jowkowa, Mladena Isajewa,

Stojana Daskalowa i Lamara. Za ni-mi przyszły inni.

Nie wszystkie utwory osiągnęły ten sam poziom historycznie praw-dziwego, artystycznie pełnego i prze-konywającego obrazowania ludzi i wydarzeń wrześniowych. Uwarun-kowane to było nie tylko wielkością talentu twórczego, lecz i ideologicz-nym uświadomieniem poszczególnych autorów, znajomością życia i jego prawd. Wszystkie jednak utwo-ry cechuje pozytywny stosunek do powstania. Ale podczas gdy jedni pi-sarze tylko po ludzku współczują z cierpieniami powstańców i ich ro-dzin, bardzo często omijając i nie do-strzegając konkretnie samego po-wstania, inni twórcy idą dalej, mó-wiąc wnikliwie o wypadkach poli-tycznych i pogłębiając ich analizę. Stosunkowo najmniej autorów po-kusilo się o oddanie całej historycz-nej prawdy powstania. W dalszej konsekwencji powstanie wrześniowe i „literatura wrześniowa” wpłynęły na skrytalizowanie się twórczości o coraz to wyraźniejszym obliczu re-wolucyjnym. Na zróżnicowanie tej twórczości wpływało także ścieranie się z reakcyjną literaturą burżu-azyjną, co się najwyraźniej odzwier-ciedlało na tle stosunku do powsta-nia wrześniowego, jego bohaterów i jego dalszych społeczno-politycznych skutków. Pomogło to znacznej czę-ści postępowych pisarzy do szybsze-go odchorowania różnych dekadenc-ckich chorób literackich, jak symbo-lizm, ekspresjonizm itp. Mobilizowa-ło ich do świadomej i czynnej dzia-łalności polityczno - społecznej, kie-dy to oddawali swe pióra na usługi ludu pracującego nie tylko kształcąc go, uzbrajając i zagrzewając do wal-ki z monarcho - faszyzmem, ale i wskazując często perspektywy ho-wego, lepszego świata. Prawda hi-storyczna, a co za tym idzie i arty-styczna była po stronie obrońców i sprzymierzeńców września.

3.

Na czoło prozaików bułgarskich, którzy swe przekonania polityczne i oblicze artystyczne kształtowali w duchu tradycji powstania wrześnio-wego, wysuwa się Krum Wel-kow, którego dzieło literackie odegra-ło wybitną rolę w społeczno-poli-tycznym i rewolucyjnym wycho-waniu tysięcy bojowników. Należy on do grupy pisarzy, którzy pierw-si zareagowali na wydarzenia wrześniowe. Uczył się na najpierw w opowiadaniu „Męka” 1925 roku), w którym wyraził wiarę w pomysły ostateczny wyrok walki, zapoczątkowanej przez powstanie wrześniowe.

Krum Welkow nie poprzestął na tym. W opowiadaniu „Śmiech”, a później w powieściach „Żywot Piotra Daszewa” i „Wies Borowo”) po-wracał do powstania wrześniowego. W pierwszej przedstawił wydarzenia wrześniowe na tle środowiska miej-skiego, w drugiej zaś zobrazował czas poprzędzający powstanie, jego przebieg i tragiczny koniec w obrę-bie zabitej deskami wioski. W du-żym skrócie — ze względu na szcze-płe rozmiary powieści, — Welkow skreślił tu bogatą galerię różnych trafnie dobranych postaci. Rysując zryw ludu pracującego, pisarz pierw-sze nie wskazał na kierowniczą rolę Bułgarskiej Partii Komunistycznej w organizowaniu i prowadzeniu wal-ki o władzę ludową. „Wies Borowo” staje się w ten sposób plastycznym, żywym obrazem zmagania nie tylko je-dnej wsi Borowo, lecz w ogóle ludu bułgarskiego w tym czasie.

Wśród pozycji poetyckich najwyż-szym osiągnięciem w tym zakresie jest niewątpliwie poemat „Wrze-sień” Geo Milewa. Autor głęboko poruszony powstaniem ludowym przeciwko faszyzmowi, odtworzył bojowników 1923 r. Wzburając się na zewnętrzną szacie poetyckiej Majakowskiego, dorównał mu w patosie rewolucyjnym i sile wyrazu poety-ckiego. Nie pokazuje co prawda wła-ściwego inspirowa i organizatora powstania, lecz rysuje je raczej jako zwycięzcy mas ludowych. To niedociągnięcie ideologiczne Geo Mile-wa wynagrodził dynamiką utworu równą dynamice ukazanych mas lu-dowych, siłą polotu poetyckiego, świeżością i oryginalnością metafor, wrzesień pełną siłą protestu prze-ciwno bestialstwu tyranów, koń-czącego się niepowodzeniem wizją poe-tycką:

Wszystko, co się filozofom i poetom śniło —

stanie się!

— Bez boga, bez pana!

Wrzesień będzie majem.

Żywot ludzki

będzie jednym niekończącym się

— w górę! w górę!

Ziemia będzie rajem —

— będzie rajem!

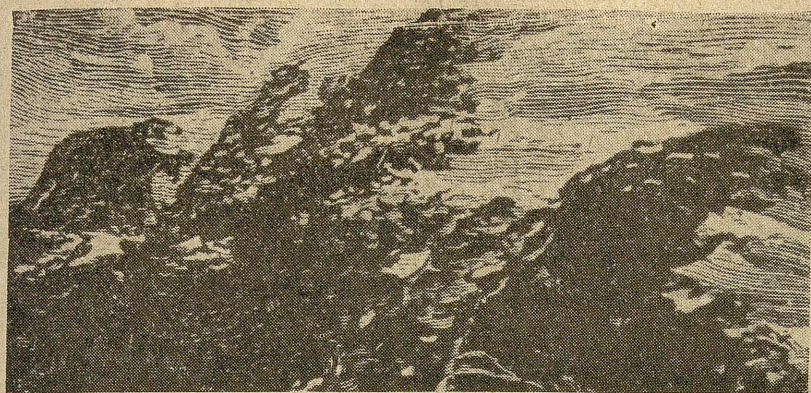
Sądy faszystowskie zabroniły roz-powszechnić poemat, wytoczyły proces autorowi i skazały go na grzywnę, a podczas pogromu 1925 r. wywieziono go z domu i zamordo-wano, jak zresztą wielu innych. Nie zdolano jednak zniszczyć prawdy poematu. Gdy zwycięska Armia Ra-dziecka stanęła na bułgarskim brze-gu Dunaju i powstał lud, wrze-sień stał się majem!

Bronisław Cirlić.

*) Ukazuje się niebawem nakładem „Książki i Wiedzy”.

Grzegorz Timofiejew

*) Michał Krajewski, „Miejsce stałego zamieszkania”, na zlecenie RSW „Prasa” — „Nasza Księgarnia”, War-szawa, 1951.



MART RAUD

mal. J. Pawłow

ROSYJSKIE SŁOWO

Ten piękny dzień przypominał się na nowo — choć za nim z dawna czas już zataił ślad, Gdy otwierałem z drżeniem „Ruskie słowo”, Pierwsze czytanki z moich szkolnych lat, I leż tam rycin, Panujących łica

Patrz drapieżnie z gólonów i szlif, Tu zwierzę, co w dziwnych mieszkach okolicach, A tu korweta mknie wśród grzyw.

A tutaj morza, lądy i planety, Lecz jak odgadnąć kształt rosyjskich słów, Gdy z alfabetu całego, niestety, Radziłem sobie z głoską „A” i „U”.

Co to za ptak? Czyż lub sikorka mała? A gdzież to żyje ten skrzydlaty szklarz? Aż nagle z karty jakowejś spojrzała

Czyjaś szlachetna i rozumna twarz, I ktoś o włosach ciemnych, kędzierzawych

Przyszedł jak bajka w kraj dziecięcych snów, Jak gdyby starszy kolega zabawy

Z wiązanką kwiatów, z wieńcem miłych słów, Za zgłoszką zgłoska! Coś składa się... kicci, Aż nagle w cudnym srebrze zim

Powiało strofą i na kształt zamieć, Przez mą ojczyzną chwałę przebiegi rym.

Uczony kot okrążył leśne dróżki, Wiczące, hej, z morskimi wstali dna...

Kiedy do domu cicho wchodzi Puszkina, Dzieciarnia kroki jego dobrze zna.

Tam gdzie przemocy wciąż rządziło ostrze, I w drętym śnie zamarty kraj mój tkwił,

Poezja skrzydeł swoich nie rozpostrze — Storturowana i zdeptana w pył.

Rosyjskie słowo, z dziećmi estońskimi Skłócono ciebie na tak wiele lat.

Nad naszym ludem, nad nocą mej ziemi Zachodni zmierzach swe myśli zdradziły kładi.

Jak mogły przedrzeć się słowa Puszkina Przez zandarmię i gasieków sznur,

Przez długie lata, pieśni ty jedyna, Wziął cię hrabski i lordowski dwór.

Wielkiej poezji walka towarzyszy, Walka i pieśń — to młode siostry dwie.

Estonia moja, kraju wolny, słyszysz: Z braterską Rusią spłótas jasne dni.

I jak muzyka brzmią rosyjskie słowa Radosnie, dźwięcznie w kraju naszych łak.

I puszkowski tomik zawędrował Do estońskiego dziecka szczęśliwych rąk.

Przełożył T. Chrościelewski

DEBORA BAARANDI

SZUMIAŁA LAS

Kariasma, Cariasma, Z kraju wspomnień, z niepamięci

Wstaje jakby na zakęcie Mroczny i surowy bór.

Za grzędą, za bagienkami Z żałośliwym osin jękiem,

Sięgającym aż do chmur, Tam zawlecie niesłychane,

Góry śniegu usypane I w zadyłki — nie pogody

Ciągna w stronę wsi podwody, Wieża drwa w tę głuchą noc.

Sosny, jodły kariasmy, Wspomnę waszą dal sośnianą,

Widzę młodą i rumianą Matkę, co staruszką dziś,

Oto idzie utrudzona, taszczy pniaki na ramionach,

Widąc, że nie lekko iść, W domu dzieci — nieboraki...

Oj, stęskniły się dzieciaki, Nie wesoło żyć, o nie!

Taki los już jej: codziennie Zginąć kark i zmoc zmęczenie,

Cóż uroda? Biednym źle. Cariasma, Cariasma,

Wokoło ciemny las, doliny, Smutne pieśni i byliny.

Nigdy nie zapomnieć ich, Do okiennych szyb buziami

Przywarliśmy godzinami, A niepokój ciągle rości,

Wiało od okiennej ramy, Gdy nie było przy nas mamy,

Srożej dręczył głód i mróz, Jest! Uwalnia się z półszubki,

Oż zamarzniętych rąk, od jukki W izbie zapachniało smołą,

Tajal śnieg, na matki czoło Topniejącą strużką spadł.

Przyszła wreszcie mama do nas, Tanczy działwa ucieczona.

Liczko jej jak róża kwiat, Chleb omaści powidłami,

Pogawędzi czule z nami, A dotąd wczila drewno.

Nie trapiła się na pewno, Nie obeszło to i mnie,

Zgnęła słoma kryje chałę, Miano już ją zburić latem,

Strop się coraz bardziej gnie, W jakimś mrocznym zakamarku

Stała skromnie przy folwarku, Deszcz zaciekał w niepogody,

W izbie było pełno wody, Smołą szarpał deszczu bryzg.

W izbie wiatry skowyczały, Zmokłe drwa niewiele rżały,

Dym dziecięce oczy gryził, Komu matka zaprzędała

Sily, plecy nadrywała, Aż do późnych starczych lat

Czasem matka nasza miła

Zdartym głosem coś nuciła, Głos jej zniszczył mróz i wiatr.

Oj, nuciła o ptaszynie, Co śpiewała, hej, w gęstwinie,

Lecz krogulec ptaka zjadł, Cariasma, Cariasma,

Dziś w gazecie wyczytałam O tnych lasach i wspominałam

Łzy i radość tamtych lat, W myślach piły zaskrzyptały,

Jedły się rozkołysały, Z szumem pień na ziemię padł,

Topór wryza się w chojaki, Drzazgi sfrunę wkrąg jak ptaki—

Bystry i szeroki lot, Z życia życie dziś wykwiata,

Rosnie sława znamienita, Inny sens ma trud i pot.

Bystrzej krew przewodzi żyły, Czasy kajdan się skończyły,

Zapał zdawał się nasz trud, O wyczynach naszych drwali

Pochwalmy się nasłuchali Nieraz u Bałtyku wód.

Bo szeroka i niemala Znakomitych drwali chwala,

Zapalonych i oddanych, W pracy swojej rozkończonych.

Wielkoludy, wyrwidęby, Przekraczają dziś wyręby,

Jak rebase Saaromy, Cariasma, Cariasma,

O czym szumi dziś twój bór? Szumi o wiazarach śmigłych

I o masztach białoskrzydłych, Siegających aż do chmur —

Domach czystych i wesołych Przesyconych wonią smoły,

Kędy w piecu kłoda płonie, W sinym niebie dym zatonie

Zimą, w czas jesiennych słońc — O drzewach i o szafach mocznych,

O zalanych słońcem szkołach, O roboczych długich stołach,

Za którymi i w czas nocny Zdarza się niedjedne cud.

Gdzie przy świecach przed tygodniem Uczestowali szumnie, zgodnie

Starzec, młodzik — jeden krag, Las ten szumi o chrześcijańcej,

Jedwabistej, szeleszczącej, Śnieżnej, szarej, kłosolitej —

O kolysec czarnych liter — O papierze nowych ksiąg —

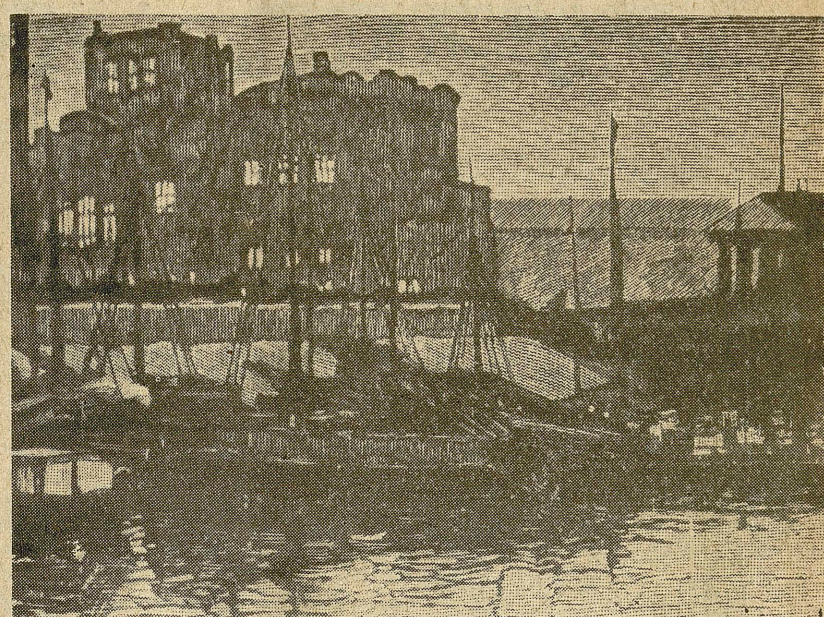
O palcach, salach białych, O teatrach niebwywanych,

O fabrykach, co wleją nowe, O tym wszystkim, co ludowe,

Co stanowi wspólną własność, Cariasma, Cariasma,

O tym szumi dziś twój las.

Przełożył T. Chrościelewski



mal. J. Pawłow

DEBORA BAARANDI

W NADMORSKIM KOŁCHOZIE

Nasz rybacki kuter nie z kosteczek ptaków, Mocne jego burty ciosane z dębezaku.

Na rybackim kutrze maszyły to nie trzciny, Zagiel to nie liliary fartuszek dziewczyny.

Kuter nie ma serca, lecz motor stalowy, Wał pod tramem śpiewne prowadzi rozmowy.

Kutrem tym żeglują same chwackie chłopcy, Pierś ich nasyciła słone morze syropy.

Pierwszy sławny siła, drugi zaś biegłością, Gdyż zapuszcza sieci z przedziwną zręcznością.

Jakie piękne pieśni umie rybak trzeci, Śpiewa tak, że ryby same płyną w sieci.

Następuje wieczór i podziwiać łódki, Podchodzą na palcach dziewczęta miłutkie.

Za dziewczyną lubą oczy wypatruje, Ona kołchozowych tłustych stad pilnuje.

Ciągle się natrząsa nad młm połowem, Niby gorzka solą krztusze się jej słowem:

„Od tych dorys, flader stokrów bardziej wole, Figlarne cielątka, gdy wychodzą w pole”.

Wtedy swojej lubej odpowiem po prostu: Niech się jeno rybak doczeka sūd-ostu,

Dziwi ci i cuda pokaże podwodne: Na węgorzach strójnych lśniące fraczki modne.

Tłuste me łosiole nie krowiej urody, Cóż masz piękniejszego nad mieszkańców wody.

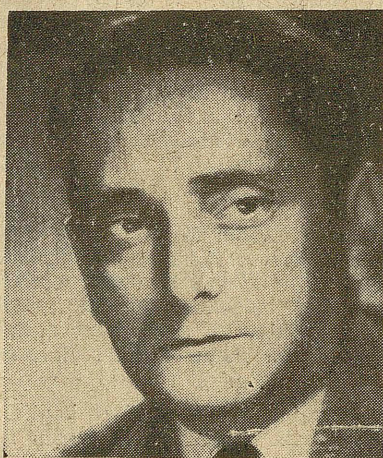
Zgrabne me łosiole łuska przyrodziane, Na nich lśnią monety srebrne i miedziane.

Ich grzbiętowe pletwy od tęcz barwnych jaśnieją, Czarodziejskim ogniem świecą się jak w baśni.

Przełożył T. Chrościelewski

MAREK PIECZYŃSKI

SZKIC WIELKIEJ POWIEŚCI



Marian Brandys

foto Dorys

I.

„Spotkania włoskie” Mariana Brandysa pojawiły się przeszło rok temu. W niewielkiej książce — debiucie pisarskim autora — uderza nas siła intelektualnego przeanalizowania faktów, zwartość kompozycji, oszczędność słów, piękno języka artystycznego. Narodził się u nas „wielki reportaż”.

Marian Brandys przerzucił się w tym roku z dalekich Włoch do serca Planu 6-letniego — Nowej Huty. Ten fakt zmusza nas do zastrzeżenia oceny. Z jednej strony niewątpliwym sukcesem pierwszej książki autora skłania nas do porównań, do ciągłej rejestracji wzrostu pisarza lub też jego cofania się. Z drugiej — o ogrom tematu, jego waga polityczna, jego paląca aktualność zmuszają nas, byśmy tę ocenę przeprowadzili surowiej. Ostatnie melankolii z Częstochoy. Wizowa, Andrychowa, rosnący z dnia na dzień front przemysłowy 6-letniego Planu, mówią nam nie tylko o obowiązkach pisarza, mówią o jego odwadze, kiedy staje na pierwszej linii budownictwa, kiedy mówi o człowieku, ukazując nowe konflikty i nowe problemy.

Reportaż Brandysa nie jest reportażem dziennikarskim, który daje obraz chwili, będący rezultatem jednorazowego, krótkiego zetknięcia się z opisywanym faktem, obiektem, czy człowiekiem. Reportaż Brandysa to uogólnienie szersze. Między nim, a obrazem powieściowym nie ma już właściwie podstawowej różnicy jakościowej — powieść charakteryzuje po prostu większa i szersza konsekwencja w budowaniu akcji, dokładniejszy, bardziej wyczerpujący, rozbudowany typ obrazu artystycznego. Zbiór reportaży Brandysa zasługuje w pełni na nazwę zbioru szkiców powieściowych, rysujących zasadnicze

sylwetki bohaterów i kontury konfliktów, zanim praca pisarza pogłębi te wątki i splecie je w jednolitym toku opowieści o sprawach człowieka w Nowej Hucie.

Głównym tematem zainteresowań Brandysa jest człowiek. Reportaż z Nowej Huty to zupełne przeciwieństwo „technologizmu”, który panoszył się w wielu powieściach powojennych, mówiących o produkcji. Pisarz położył nacisk na sprawy człowieka, na przemianę, jakie zachodzą w nim, na budowie, na awans społeczny młodzieży biedniackiej, na proces przemian w społecznej postawie starych majstrów. Spojrzenie Brandysa ześrodkowuje się niemal wyłącznie na ludziach. I tutaj jednak, wychodząc z tradycyjnego pojęcia dziennikarskiego, „opisowego” reportażu, można mieć do autora pewne pretensje.

Perspektywa Brandysa wydaje się niepełna. Nie dlatego, że skierowana jest na człowieka, ale dlatego że brak jest szerokiego obrazu budowy, krajobrazu rosnącej Huty. Autor sam to zresztą dostrzega. Wiele rozdziałów szczególnie początkowych służy autorowi do rozszerzenia tematyki, rozsunienia perspektyw. W rozmowach polskich i radzieckich specjalistów, w nocnej dyskusji „Don Kiszota” ujawnia się wielkość i ogrom budowanego obiektu i rozmachu budownictwa. Ale wszystko pozostaje w ramach ogólników. Obraz jest zamazany. Nigdy nie widzimy budowy, jako konkretnego tła akcji, jako konkretnego tła przemian człowieka. Kto pamięta Ażajewa „Daleko od Moskwy”, ten wie, że człowiek ukazuje się w całej pełni dopiero przy konkretnych czynach, przy zupełnie określonej i dostatecznie wyrażonej opisaną pracą produkcyjną. Obraz, który każdy pracownik i cały kolektyw działali w konkretności, a nie w ogólnikach. „Prawda musi być konkretna” — stwierdzają klasycy marksizmu. I można by tu dodać — szczególnie prawda o człowieku. Tej właśnie konkretności Brandysowi brakuje. Ludzie tracą swoją wyrazistość. Mamy miejscami do czynienia z procesem odwrotnym w stosunku do powieściowego „technologizmu”.

II.

Goracość, żywotność opowiadań Brandysa pokrywa się z ich aktualnością. Historia małego Kubika, który szedł od „figuranta” pomiarowego do hutnika, proces dojrzewania i przełamania się starego Malagi, ten ostatni szczególnie — to rzeczywistość, pełny obraz człowieka, postacie żywe, głęboko zindywidualizowane nie tylko w akcji,

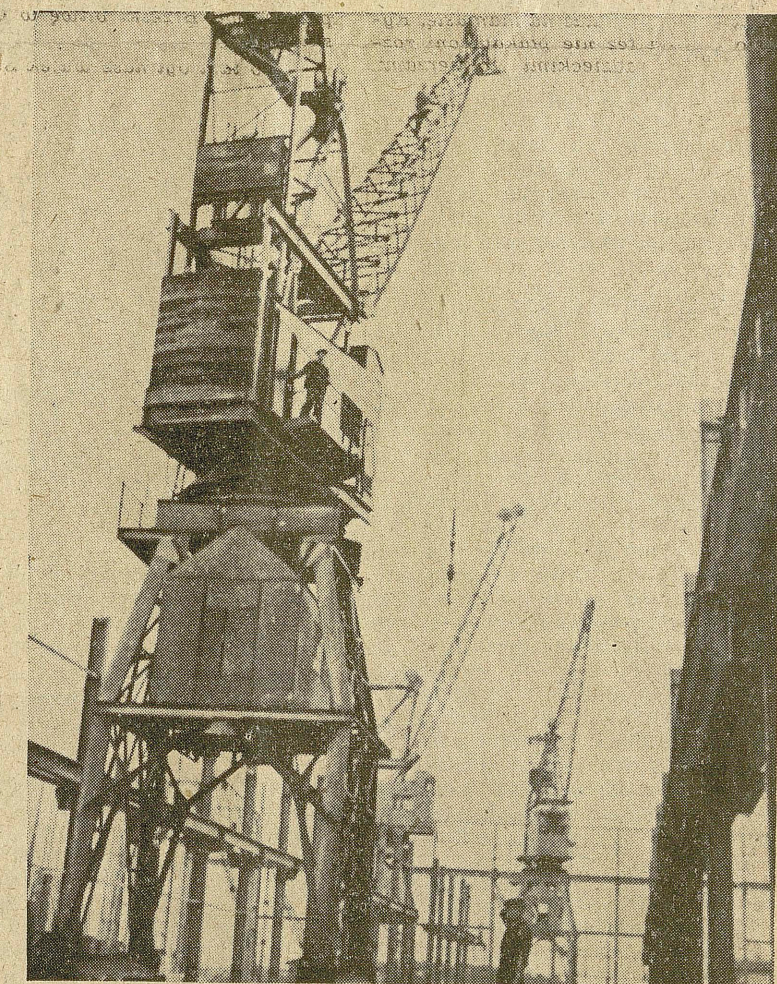
ale i w języku, i w drobnych szczegółach. Tym więcej razi ich współzależność i współistnienie na łamach książki z postaciami niewykończonymi, nieprzekraczającymi ram szkicu. Razem z nimi wkraczają na stronic Brandysowego reportażu obrazy pisane jakby w pośpiechu, wyrażnie — pomimo śmiałości ujęcia — „niedopięte” artystycznie i ideologicznie. Brandys idzie słuszną drogą — drogą oszczędności słowa. Nakreślił i uplastycznił postacie, które miejscami zarysowane są dwoma, trzema zdaniami — to wielka sztuka, którą Brandys posiadał w wysokim stopniu. Łatwość budowania postaci staje się jednak niebezpieczna, kiedy autor daje się ponieść nastrojowi „rejestracji”.

Wtedy, kiedy Brandys szerzej zarysowuje pewien proces, jego metoda stylistyczna, jego język przekreśla dynamikę akcji. Tak jest w przypadku historii Kubika, czy Malagi. Ale tak nie jest w przypadku historii małżeńskiej kierownika ZMP, tak nie jest w sprawie nieuczciwego biurokratycznego kierownika rachuby. Reportażysta, dający krótkie, naszkicowane zaledwie obrazy, skazany jest wielokrotnie na prostą rejestrację faktów. Brandys potrafił w wielu wypadkach „odkoczyć” od takiego, powiedzielibyśmy, naturalistycznego stylu repertażowego. Autor zrobił to nie przez sztuczne kłócenie niewykończonej akcji powieściowej, a przez powtarzanie obrazów posiadających tego samego bohatera, poruszających jednak coraz to nowe problemy, rejestrujących jak gdyby przez poszczególne zdjęcia etapy rozwoju człowieka.

Tak zbudowana jest historia Malagi. Pierwszy fragment dotyczy Malagi stawiającego opór systemowi trójkowemu, drugi — ukazuje starego majstra uczącego młodą kadrę murarki, trzeci pokazuje Malagę i jego antagonistę smarkatego Jasia Wojniaka zgodnie zwalczających stanowisko matki jednego z brygadzystów, pragnącego zabrać syna z Nowej Huty. Aż wreszcie, gdy stary zrzęda i malkontent prosi Kulbarową, aby nauczyła go czytać, gdy pisze na końcu książki list do swojej żony, niezdarne kaligrafując zdanie: „piękny jest ten świat...” — odczuwamy duże wzruszenie, bo przecież narodził się nowy człowiek, człowiek, który zmienił się w naszych oczach.

W inny sposób ukazuje nam autor np. współzależność rodziny Kulbarów. Kiedy po przyjeździe do Nowej Huty zaczyna się coś „psuć” między Piotrem, zapracowanym aktywiście zetempowiskim, a jego żoną, oderwaną od nauki, pozostawia-

na z dzieckiem na łup nużącej walki z prymitywnymi warunkami „budowy” wydaje się czytelnikowi, że Brandys wywiesza nowy konflikt — zagadnienie moralności ZMP-owskiej i nowego typu rodzinnego współżycia. Ale tu nie dostrzeżemy procesu istotnej zmiany ludzi. Marysia otrzymuje pomoc nie od męża, lecz od sąsiadki Walaszczykowej. Mogłoby się zjawić szersze zagadnienie współpracy kolektywu ludzkiego na terenie budowy. Z aluzyjnych zdań Walaszczykowej można się domyslać, że właśnie na tej płaszczyźnie pragnął autor postawić to zagadnienie. Ale wszystko się rozplywa. Piotr pracuje nadal, pochłonięty absolutnie bez reszty robotą organizacyjną. Mimo to uśmiechają się oboje — problem ma zostać rzekomo rozwiązany — w rzeczywistości problem został ominięty. U każdego czytelnika zrodzi się może pytanie, jaki jest właściwy sens fragmentu dotyczącego rodziny Kulbarów? i to już jest niedobrze. Obraz artystyczny powinien przemawiać wyraźnie problemowo i ideologicznie do czytelnika. Dla ideologicznego rozwinięcia obrazu powieściowego, dla wyśnięcia zasadniczego konfliktu czy problemu, nie wystarczy wytypowanie i skreślenie postaci. Konflikt leży bowiem w ludzkim działaniu i dla jego zarysowania konieczny jest choćby szkieletowy fragment konstrukcji losu postaci, bohatera. Tam, gdzie tego brakuje, konflikt psychologiczny będzie złym, nierealistycznym schematem. Myli się Ludwik Flaśzen w swojej recenzji z 17 nr-u „Życia literackiego” upatrzyć wartości dobrego reportażu w „odkrywczości schematu”. Indywidualne wątki — małżeństwa Kulbarów, narzeczeństwo Walaszczyków są słabe u Brandysa nie przez zacieranie i oparcie ich na starych schematach. Konflikty przecież nie rozgrywają się w wyizolowanej „psychice człowieka”, ale w skomplikowanym życiu społecznym. Największą sztuką jest umiejętność powiązania ich z życiem duchowym ludzi. Wtedy rodzi się człowiek; inaczej — szczególnie w reportażu skazanym na szkieletowość — postacie staną się papierowe, konflikt zamieni się w schemat. Nie trzeba doszukiwać się specjalnych praw reportażu, szczególnie reportażu o takim zasięgu tematycznym. Schemat również często rodzi się bowiem na łamach powieści. I jeżeli ukazał się gdzieś w powieści, „wszyscy w powietrzu”, są oderwane od życia całej budowy, nie zostały ukazane i rozwinięte w ramach szerszych konfliktów społecznych.



Dźwig w Nowej Hucie

foto WAF

III.

Ideologiczna analiza problematyki książki Brandysa ukazuje nam jej mocniejszą stronę. We wszystkich fragmentach reportażowych, z jakich zbudowana jest książka, czynnikiem najbardziej bojowym, nadającym ton przemianom na budowie i przemianom człowieka jest Partia, a na odcinku młodzieżowym jej pomocnik — ZMP. I tak właśnie dwukierunkowo jest pokazana rola partii: kierowniczo i wychowawczo. I odpowiednio do tego żyje ona na kartach książki nie tylko jako unerwienie całej budowy, jako organizacja, której roli nie może nie dostrzec pisarz zwiędzający największy obiekt szkieletowy; żyje także w ludziach, w ich politycznej świadomości i życiu codziennym. Ją reprezentuje stary Walaszczyk, umiający pokazać Maladze prawdziwą drogę; ją reprezentuje Kubik starszy w dyskusji z wiecznie utyskującym inżynierem-geodetą, czy sekretarzem budowy, który potrafił małego Kubika (i nie tylko jego) ostatecznie już zniechęconego natchnąć ochotą do dalszej budowy i walki. Takich postaci pozytywnych bohaterów jest więcej w książce Brandysa. Pewnie, że są oni

w większości zaledwie naszkicowani, ale samo ich istnienie w kolektywie jest głęboko odczuwalne w książce.

Pełny rozmach pióra ukazuje autor dopiero od wiosennego zaciągu ochotników ZMP. Z młodą zjawia się kolektyw, organizacja ZMP-owska i nowe problemy. Tutaj także można by powtarzać zarzuty niedociągnięć problemowych i artystycznych. Ale wiele kart żyje. Już przy ich publikowaniu na łamach „Nowej Kultury” odezwali się ludzie budowy — młodzi z SP i ZMP. I to nie będzie koniec.

„Początek opowieści” został napisany. Jest w nim dosyć żaru i pasji pisarza, dosyć bogatej wiedzy o życiu. Trzeba zrobić krok naprzód. Krok w kierunku pełniejszego opowania metody realizmu socjalistycznego, coraz większej dojrzałości wyrazu artystycznego i warsztatu pisarskiego. Tego kroku niecierpliwie oczekujemy zresztą od całej prawej nowej literatury polskiej.

Marek Pieczyński

* Marian Brandys: „Początek opowieści”. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951.

JÓZEF POGAN

PRZED URODZAJEM

(Fragm. powieści)

1. STARA ZIEMIA

Był piękny dzień marcowy. Słońce mocowało się z resztkami śniegu po wozach, z błotem i larugami w wybojach koleinach dróg, oparło się mocno o firmament i dalej ślać światło promienie na pola, łąki i lasy, na zabłocone podwórka zagrod chłopskich, szparami poprzez sztachety do ogródków, oknami do izb, drzwiami do stajen i stodół, wymatając zewsząd mniejsze lub większe zapasy zimowej wilgoci i stęchliny. Pobudzało do życia przyrodę, ludzi i zwierzęta.

Nad polami tu i ówdzie wisiały w powietrzu szare, kwilące grunki skowronków. Powyżej płynął z południa hak dźwięczny gęsi. Wśród pól, po miedzach poruszali się ludzie. Niejeden wpatrywał się w zieloną run okrytego spod płachty śniegu żyta, inny wrócił zadumany nad spowitymi pajęczyną wyprzylkami roślinkami, inny znów drążył obcasem rowek na miedzy, spuszczając wodę na pole sąsiada, jeszcze inny mierzył oczami krzywość miedzy, planując podoranie jej w najbliższych dniach, choćby się za to sąsiad miał w tyłek ugrzyźć. Bo mimo zapachu wiosny i ziemi, rzadko kto był w pełni zadowolony — czuł swoją i ziemi niedolę. Mało jej — pokrajana na wąskie, nierządne pałąkowate pasemka z brudami po srodku lub zaorane „do składu” wygładzające kolebisto jako te rynny ściekowe, czy usypane groble. Abo jakby tasakiem posiekane na kawaleczki kwadratowe, trapezowe, trójkątne, półkolistę, pełne brud, uwróć, rowów, poszarpanych do reszty płynących z rozciągłego śniegu wodą. Abo jak szachownica ułożonych na wielkim stole obrzyneków skóry z warsztatu szewskiego. Można też przeróżnych wykresów: szersze i dłuższe paski od cholew, wążutkie obrzynekki od podszew, półokrągłe lub wieloboczne odcinki, z obcasów... Dłuższe i szersze obrzynekki z cholew mieniały się jakoś zieloną żyta i pszenicy, szarą się wykonaną starannie orką, świadcząc o zamożności właściciela całego pasa. Za to widok obcinaków z fleków ubożuchny: trudno odróżnić rolę od żyta i pszenicy, koniecznie od ścierniska. Szpecają do reszty pokładane na miedzach kupki perzu i kamieni. Perz, jeśli nie zginił, zostanie skrzynnie zebrany na naprawę kalenic, kamienie będą pokrywają fruwac na lewo i na prawo po tych poletkach. Będą znów wśród kłaków wracać na miedzę lub dalej na sąsiedzie pola, aż ostrza kos na nich się poszczerbią.

Na tych to poletkach chłop czuje zapach wiosny. Ten zapach przypomina mu, jak obcinał przed wojną nożem dojrzewające kłosy żytnie, by je następnie przytłąć na rozgrzanej płycie kuchennej, otulając kijanką, ziemie śmierdzące spalenizną ziarno w żarnach na przyrządzenie papki, wywołującej zazwyczaj boleści brzucha. To wspomnienie zabija upajanie się wiosną, bo i teraz jeszcze i ziemia i jej właściciele godni politowania: ziemia aż prosi się o lepszą uprawę, o wyczesanie perzu, o zarównanie brud, rowków, uwróć i miedzy... o kształt szerokiego pasów, na których rozsumniałyby się łanami zboża... Czuję to wściekłość i markotność się w głębi duszy... spostrzeżenie zazdrośnie na szerokie pasy bogatszych i wzdycha: nie można tak obrócić...

Ale wiosna już się przybliżyła i rozruszała ludzi do różnych zajęć: odrzucają od ścian liście koczuchy „gacini”, wybierają ziemniaki z kopców, zgłębienie obcinają już gązde na wierzbach i topolach, naprawiają plugi, wozy i brony. Starsze dzieci pomagają rodzicom w pracy, drobniak co jeszcze nie chodzi do szkoły, hałasuje po sadach zabawą „we wojnę i w przeszkakówki”. Nawet zgrybiałe dadki i babki wyszły od przypiecków i pousiadały na przyzbach. Wiosna idzie, wiosna...

W poprzednim numerze („Wies” Nr 39)

P. Chmura — Wśród chłopów na dożynkach w Poznaniu, L. Herdagen — Poeci dobry i różni, A. Marianka, — Na nowej drodze, D. Brzozowska — O Dygasińskim i brzozińskiej emigracji, H. Bereza — Na szlaku amerykańskiej rewolucji, S. Szenie — Remitaryzacja Niemiec Zachodnich, A. Rymkiewicz — Pieśń ludowa czesko — morawską — słowa cka, J. Siórnicki — Powieści P. J. Jemnickiego, E. Martuszewski — Życie i twórczość Lu. S. T. Orlewicz — Kapitalizm to nędza wsi, K. R. Zawadzki — Schyłek światowego kapitalizmu, M. Wielgos — Odrażenie roku, Gazeta Gminna, Str. 8, ilustracji 17.

2. WŁASNOŚĆ...

W taki to pogodny dzień marcowy przybył do spółdzielni w Targowej okolo dziesiątej godziny agronom powiatowy i przedstawiciel Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Gdy wraz z paroma członkami spółdzielni szli w pole jako komisja do oceny ziemi — poruszyło to wielu we wsi gospodarzy. Szczególniej gadatliwe kobiety robiły rwetes.

— Kumosko, pany przyjechały z Krakowa, czy z Warszawy i ponoć będą pola pod spółdzielnią wymierzać.

— Dyć już wiem, kumosiu. Mają ponoć ino spółdzielce szacować.

— Godocie... Jo słysała, że mają planować przesiedlenie gospodarzy, żeby spółdzielnie miała pole w jednym kawółku. Chłopa wygnałaby wyżyć w pole. Kozicie i wy swojemu, kozicie. Trza wybadać, co myślo, żeby wiedzieć, co późni na to radzić.

Dziewiska z krzykami i hałasem popędziły w pole; wychodzili też niektórzy gospodarze. Schodzili się po dwóch, po trzech, żalili po miedzach i obserwowali komisję.

— Ładny dzisiejszy dzień — zagadnął Groch stojącego na miedzy sąsiada, Gruda.

— No, no — przytaknął tamten, patrząc w tej chwili na staję odkrytego spod płachty śniegu żyta... — Widać nie wiele będzie ze żyta. A u was jak?

— Tak średnio. Miejscami przetrzymało się niezgorzy, miejscami na pagórkach uszkodzone. Ale myślo, że jak Pon Łóg da dobry czas, to się okrzepi.

— Hm, żeby to doł... A jak nie da...?

— Tys musz baś. Wszystko trza bez symranio z jego ręki przyjąć.



rys. Stefan Gierowski

— II, taki z was skrupulant, bo żaden dopust nie znaczy was do imentu na tylachnej ziemi. Ze mąj inacej, ale wiosnę cuję, to żywosc w cieka wstepuje.

— A wiecie locego? — potrzasił Groch głową z uznaniem.

— Locego?

— Bo się ciesycie, że macie swoje ziemie — przychylił w bok głowę i kiwał nią przekonująco. — Na przykład widzę, że piękno dołnie, albo ogród. Oglądam, zachwycom się i raduje, bo wien, że i jo coś takiego mam. A pokożcie dzidawoj ogród. Pogląda się, ale cheba za owocem, żeby zerwać. Ucuje ino zdroż, że on takiego ni mo. No, co powiecie na to? — patrzył mu pytająco w oczy.

— Taki gospodarzyna jak jo, to prawie, że się nojmni przy zbiorze cieszy — zachnął się Gruda. — Przy orce, przy siewie, późni jak rónie, to sie ta człowiek cieszy nadzieją, a we zniwa kiwo głową w medyacji, że nie wystarczy do życia. Mieć chociaż tyła pola co wy, to by sie ta koniec z końcem związało.

— Ciepłójze kota na łeb, kiej on i tak na nogi spadnie — skrzywił się Groch. — Godomy przecie nie o gospodarczych korzyściach, ino o tym, co znaczy własność. Co zaś do pożytku z tego — to niech rząd obniży chłopom podatki, cyny nawozów, norzędzi, przydziewku, a cyny zbozo podnieś. Związałyby się wtedy koniec z końcem na mocny węzeł.

— Wszystkim jednak obniżyć?

— A ino, po sprawiedliwości.

— No to wy byście wtedy cheba ze trzy węzły związały, a na ten przykład młynorz dwadzieścia a taki bogacz Uszyk z pięćdziesiąt, pewnikiem zostalby dziedzicem i na dokładkę bełby jego w mieście cały rynek.

— Wszyscy nie muso baś bogaci, bo nawet Pan Jezus powiadał w ewangelii i biedokach i bogo-

cach. Nie człowiek ustanowił świat i zmienić go ni może, bo to nie jest ani w jego mocy, ani w powołaniu. Zreszta tak zmienić świat jak teraz się zaczyna, doprowadzić ino do nienawiści bliźniego przeciw bliźniemu i do ogólnego zepsucia ludzkiego. Cy możecie uderzyć się w pierś i temu zaprzeczyc?

Gruda milczał, wpatrzony wzajemnie skiby za miedzą. Groch obserwował przez chwilę jego wyraz twarzy, po czym na nowo jął mu prawie morały.

— A co do własności, to widzicie: chałupa swoja i na swoim placu, bydełko swoje i w swoim chłynie, drzywka swoje i na swoim sadzie, grodziska swoje i pod swoim dachem, pole swoje, łąka swoja. Zboze swoje, trawa swoja, nawet tyn konik pełny, co ćwiercy w trawie i tyn skowronek, co nad rolę w powietrzu swiergoli — tyn swój. Nawet cierniok i kamień na miedzy. Wszystko swoje i to cieka musi cieszyć. A jak cieszy, to i ochota do roboty jest. Ciek się nie roz o północy żywo z łąka i pędzi do roboty. Bata nie trza na niego. To jest przyczyna, że chłop najprościej od wszystkich. He urządnik i robotnik to ino patrzy piniadze wziąć, a nie roboty. Ano, zrobi tyła co musi. O, popatrzcie na nich — wskazał palcem na Komisję opodal badającą pola zespołu. — Oni tyn robotnicy. Gospodarz w spółdzielni — to już nie prowadziwy chłop, ino robotnik, pod batym. Co nie tak? — osądził cie trzynom.

— Co jo mom sądzić, wy się przecie za nauczyciela cujecie. Ja wasego nie wypraktykowałem. Was z łąka zrywł ano zysk a już takiego Uszaka same ino dubelowe interesy, a mnie ściał bat do onego Uszaka pozyczyć, odrobić a-

— Co? — uraził się nieco starzy. — Mogo se ludzie przywłaszczyć zasługę, a bosko moc na bok odpychać, wies.

— A cy w urodzajny rok urośnie wcm tyła na ty mordze dozwocio, żebyście mogli żyć? Abo mnie na pięćch?

— Nie godom do takich madrałów — obruszył się stary ładując do fajki „bakon”.

— Tak se myślo, że kto wie, czy ta spółdzielnie nie wyjdzie ludzom na dobre, — rzekł poważnie Smidela.

— Leć do nich, leć, leć — chwycił go stary za ramię i popychał naprzód. — Powinieneś być razem z Łodeckim agitować.

Smidela ani się nie spieszył tym, ani nie zginiwał. Wyciągnął rękę naprzód i wodził nią wokół.

— O, tu syrokcie, ładne stajanie, równo pocięte, zorane i obsiane jak trza. A tu już inacy: kołoblasto kiesecka, koło miedzy motyką popodciupowano, kawółek, kieseć ścierni, żyta nie odróżnił od roli; stajonecka — jedno tyłe, drugie tyćkie, na trzecim posek żyta, a posek ścierni... Hań znowu miedzo nad chłopia wysoko, pod miedzą śniegu pełno i żyto wyprze... Teraz to jeste tak nie odbiło wyraźnie, dopiero jak przyjdzie moj. Tu ledwie żytko będzie wyglądało z pyzru, tam zimnioki bedo, kieby pod podłoga, bo całizną przyorane, kajdzi motyka przycupane, jeste kajdzi bedo wyłazić kieki jak igielki, że w kopanie mocno je do flaski zbierać jak jagody. Te wszystkie pola w Targowej, oprócz kilku bogatszych, ani cwoity części tego nie urodzo, co powinny przy dobry obróbce urodzić. Jak powstał spółdzielnie, jak się to wszystko zrówna, zaorze, powiezie, obsieje jak trza to — hoho! będzie pożytku!

— I ty mos widać ochote wstąpić do spółdzielni? — zaciekał się Gruda.

— Jużci i powinienem tam już baś ze swoimi pięćmi morgami, ino przez babe. Ale widać nie trza zwozać na ną.

— Głupio godoś o tych ziemniokach w całiznie — jał perswadować Trzasiak. — Jo już spraktykował, że w suchy rok zimnioki woło twardzizne.

— E, nie godocicie — powątpiewali tamci.

— Co nie godocicie... Słuchojcie ino, to wam opowiem coś ciekawego.

— No powiedzcie.

Trzasiak pyknął z fajki, wytrzymał z niej popiół i schował za cholewę buta.

— Było to jeste za nieboski Magdy. Miałem wtedy ino trzy morgi, bo te jeste dwie to przyszły od drugiej baby. Okopowałem se ziemnioki nad lasem. Już stonice mało zachodzić, jak mnie zemdliło cegos i ległem bez pamięci. Nie wiem jakem długo był omdlały, tyła ino pamiętam, że sie budze, patrze, a jo leze. Przestęnołem sie krzywym świętym, dzwigniem sie i zabierom do okopowania, bo ziemnioki akurat były w taki całiznie i zarosły już strach boski. Clupom se tak motyką, clupom, wytrząsam reklamą przyz i chwoity i w jedyn rok spórze w bok, a tu wyłazi z lasu siewi staruszek po pas z brodą i pyto mnie sie „Cóż ty to młodzieńcze robiś?” „Okopuje” — odpowiedziałem, ale mnie cosik zatrwożyło. Staruszek patrzył się na mnie i godo: „Sied byś se tyz młodzieńcze, spokojnie na dupie, a nie męczył się na swoje skode, bo tu kaj okopujesz, ino jakich ziemnioków nie będzie, a tu kaj nie okopiesz — urosno jak teby”. Patrze sie tak zdumiony, a tu w jedyn chwili staruszek zniknił z oczu i liście na drzewach okaz dziwnie zaseleściły, bo tyn dziać — to nie był człowiek ino Pon Jezus.

Smidela wybuchnął głośnym śmiechem, tamci zaś dziwnie patrzyli na Trzasiaka.

— Nie bliźniłcie Bogu — obruszył się Groch. — Pon Jezus wom pędził, że „sied byś se młodzieńcze na dupie”. Powinieneś sie zaroz z tego wyspowiadać!

— Jużci — przyznał Gruda. — Pon Jezus był wom sie pokozol...?

— Niewierne Tomase — złościł się Trzasiak. — Cegóz sie sprawdziło, co przepędził? Połowem ziemnioków okopół, a połowe na wygrano, co będzie, to będzie — tak zostawim i cekom niecierpliwie kopania. Tu kaj był okopane, ledwie urosły tyłe co torki, a na nie okoponym wywołali sie ze ziem jak buki.

Smidela nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Śmiał się ubawiony i przygadywał żartami. A gdy oburzony Trzasiak zaczął mu wydziać od „wisusów” i bezbożników — wyrzekł poważnie i twardo.

— Downi święte, brodate dziadki i tacy jak wy uczyli chłopów zycio i uprawy ziemi, a dziś nauka i technika. Waszych pierdolek już nikt nie słucha — dodał drwiąco i poszedł w stronę wsi.

Józef Pogan



Demonstracje w Krakowie w okresie przedwrzesniowym (Laboratorium Fot. Wyd. Hist. Partii KC PZPR)

JÓZEF GOJSKI

PACYFIKACJE NA

(w 15 rocznicę

FRONT LUDOWY

WYZYSK I UCISK EKONOMICZNY

Już w czasie kryzysu gospodarczego rządy sanacyjne mimo oporu i protestu klasy robotniczej, uchwalając ustawy wymierzone przeciw zdobycym, socjalnym klasy robotniczej a m. in. ustawę podwyższającą czas pracy w przemyśle i handlu, ustawę ograniczającą minimalny okres pracy upoważniającą do pobierania zasiłków dla bezrobotnych, ustawę, na mocy której wyłącza się z ubezpieczenia chorobowego niektóre kategorie robotników, ustawę o zmniejszeniu zasiłku chorobowego, ustawę o podwyższeniu składki ubezpieczeniowej od pracowników itp. Mimo że przepisy tych i innych antyrobotniczych ustaw miały obowiązywać w okresie przejściowym tj. w okresie kryzysu, stosowane były one nadal po roku 1933. Ostrze tej zachłannej polityki wymierzone było również przeciwko pracującej wsi, przeciwko milionowym masom robotników rolnych, mało i średniolnym chłopom. Stałe podwyższanie podatków, różnego rodzaju opłat, świadczeń i danin, a z drugiej strony podwyżka cen na artykuły przemysłowe, były znanymi objawami tej obszarnczno-kapitałistycznej polityki w stosunku do pracujących chłopów. Prócz podatku gruntowego mało i średniolni chłopci płacili jednocześnie 100 proc. podatku samorządowego, 10 proc. podatku wyrównawczego, 10 proc. podatku na premie eksportowe, z których najwięcej korzystał obszarnczy, bezcaki kupcy zbozowi, bowiem oni tylko sprzedawali zboże i wywozili je za granicę, poza tym pracujący chłopci musieli płacić podatek na utrzymanie Izby Rolniczych, które brończy interesów obszarncików i bogatych chłopów. Poza podatkami mało i średniolni chłopci obowiązyani byli płacić około 50 różnych opłat i danin, a miedzy innymi tyn, rogatkowe, za opiekę sanitarną, za korzystanie z wagi na rynku, za opiekę sanitarno-weterynaryjną itp. Do tego dochodziły różnego rodzaju kary administracyjne, które w latach 1934 — 36 były istną plagą dla pracującej wsi. Gdy do tego dodamy niedmierne obciążenia szarwarkowe, dochodzące w wielu częściach kraju do 100 dni w roku, odróbki u obszarncików i kulaków za lichwarskie długie, procenty, za wypozyczenie zboża na przednówek, czy pod zasiew, za wypozyczenie narzędzi rolniczych, czy siłę podługawą, a poza tym duże opłaty za niektóre posługi religijne (pogrzeb, ślub itp.) — będziemy mieli cały obraz wyzysku i ucisku, jakie spadały na pracujące chłopstwo. Ale oprócz tego chłopci musieli płacić jeszcze podatki pośrednie od cukru, soli, tytoniu, zapalek. Przy tym wszystkim ceny na produkty rolne stale się zmniejszały, gdy natomiast ceny na artykuły przemysłowe, dyktowane przez kartele, zwiększały się z roku na rok.

Relacje chłopów

„Należałem do „Wici”, ojciec do Stronnictwa Ludowego — mówi ob. Bednarski Witold. Mimo że koło nasze było legalne, policja rozpędzała zebrania. Z 15 na 16 w nocy przyjechało do naszej wsi około 250 policjantów. Najpierw aresztowano prezesa koła „Wici”, Marię Szurmę i siostrę jej Katarzynę. Na wsi zrobił się krzyk. Ludzie nie dawali ich zabrać. Policja użyła gazów i rzuciła granaty. Wtedy zginął mój ojciec.

Kiedy pobiegłem do ojca, którego brat przywiózł furmanką na podwórze, aresztowano mnie. Policjant, trzymając karabin, za łufą uderzył mnie w rękę i strząsnął kość. Wyprowadzili mnie i innych aresztowanych w pole, bijąc gumami, kazali ręce wyciągnąć i leżeć twarzą do ziemi. Kto podniósł głowę, policjanci przybijali mu głowę do ziemi nogą, albo kolbą. Po kilku godzinach skuli nas po dwóch w kajdany i odwieźli do więzienia.

Działacze chłopscy odbili policjantom aresztowaną przez nich sekretarkę koła wiciowego oraz

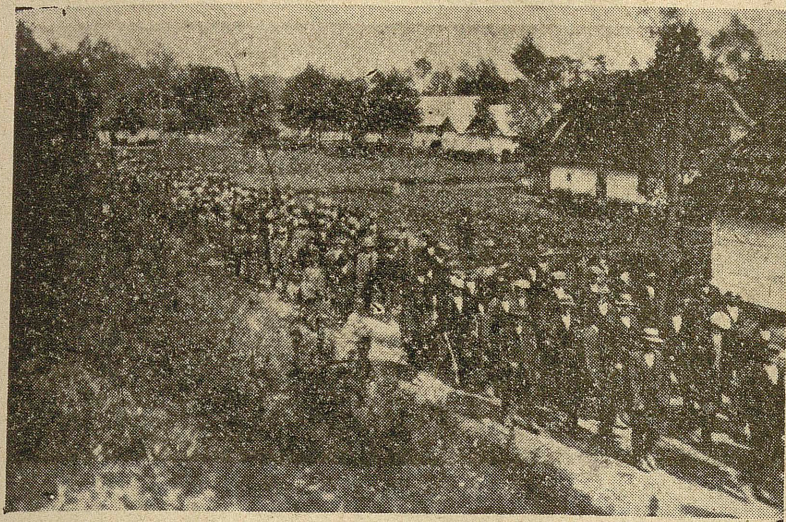
skarbniczkę. Policja zaraz po tym otoczyła wieś i zaczęła strzelać z karabinów maszynowych. I chłop został zabity i kilku rannych.

*

Lepik Wacław ze wsi Hlowice tak wspomina te okropne chwile: — Kiedy byliśmy na pomie do Zukowa, policjanci na koniach złapali mnie w polu. Który z nich zbliżył się, uderzył mnie kolbą kilka razy, pytając: „poznajesz mnie, twoja mać”.

Ojciec mój na zawołanie padni, upadł na ziemię. Policjant na koniu podjechał do niego i zawołał: „powstań i biegnij”. Ojciec wstał i uciekał do przodu, jak mu kazano. Wtedy ten sam policjant strzelił z tyłu do ojca z rewolweru. Kula przeszła przez lewą płuć obok serca. Kiedy rzęził i pluł krwią policjanci bili go w plecy kolbami, nawołując się wzajemnie: „Po nerkach go, po nerkach — to przedź zechnie”. Kolbami po nerkach bili też i innych chłopów.

Miałem wtedy 17 lat



Bezrolni i małorolni chłopci w marszu na Przeworsk (1937 r.).
(fot. Sołarz)

ZAMOJSZCZYNIE

(krwawych walk)

ty, umorzenia zaległości i wstrzymanie egzekucji podatkowych dla mas pracujących, obniżenia cen monopolowych i kartelowych, pomocy w gotówce i w naturze dla pozbawionych zarobku, płatnych robót publicznych, zamiast pańszczyzny szarwarkowej, obniżki komornego o 50 proc. itd.; w dziedzinie polityki zagranicznej — natychmiastowego zerwania sojuszu wojennego z hitlerowskimi Niemcami, zawarcia paktu bezpieczeństwa z ZSRR, Francją i Czechosłowacją. Wysłanie przez KPP hasła frontu ludowego popularizowane są w tym okresie czasu przez jednolito-frontowy „Dziennik Popularny”. Hasła te trafiają głęboko na wieś i wokół nich coraz więcej skupia się pracujących chłopów. Za przykładem rewolucyjnej walki klasy robotniczej idą chłopcy. W połowie czerwca 1936 r. w czasie Święta Ludowego coraz więcej chłopów manifestuje na rzecz frontu ludowego, na rzecz nierozłamania sojuszu robotniczo — chłopskiego. W końcu czerwca 1936 roku ma miejsce w Nowosielskach wielka manifestacja chłopska. Mimo usiłowania prawicowych przywódców SL, by z potężnej manifestacji uczynić jedynie tylko defiladę chłopską przed Smigłym i nadać jej charakter religijno-patriotyczny, chłopcy przyjmują bojową postawę, uchwalają bojowe rezolucje z okrzykami antyrządowymi. W kilkanaście dni po tej manifestacji w lipcu 1936 roku dochodzi do krwawej masakry robotników rolnych zatrudnionych w majątkach obszarniczych i kościelnych w Krzeczowicach, w Ostrowiu Tułogówskim, w Komarnie, w Goliczynie, w powiatach: przeworskim, jarosławskim i rudeckim. Na tle haniebnego wyzysku w tych majątkach robotnicy rolni strajkują. W czasie strajku na teren majątków obszarniczych sprowadzają policję. W krwawych starciach robotników z policją pada wielu zabitych i rannych. Wypadki Krzeczowickie zmagają wrzenie rewolucyjne wśród pracującego chłopstwa, które z wielu powiatów Małopolski spieszy na pomoc walczącym robotnikom rolnym. Na masowych zebraniach chłopcy domagają się stanowczo zorganizowania przez kierownictwo SL strajku generalnego.

*

Z Małopolski fala nastrojów rewolucyjnych przenosi się do południowej części województwa lubelskiego. W powiatach: zamojskim, hrubieszowskim, chełmskim, tomaszowskim i krasnostawskim odbywają się olbrzymie manifestacje robotników i chłopów pod hasłami jednolito-frontowymi. Niespotykane dotychczas rozmiary manifestacji robotniczo — chłopskich w tej części kraju osiąga swój punkt kulminacyjny w początkach września 1936 roku podczas uroczystości 30-tej rocznicy tzw. „Krwawej Srody”. Do Zamościa, podczas obchodu tej rocznicy, ściągają dziesiątki tysięcy chłopów. W Zamościu pod-

czas potężnej manifestacji oraz w innych miejscowościach wymienionych powiatów, zgromadzone masy ludowe uchwalają bojowe rezolucje i manifestują na rzecz sojuszu robotniczo — chłopskiego; na rzecz hasła jednolito-frontowego. Mimo skłonności tych rezolucji przez władze sanacyjne sama manifestacja, jej przebieg odbijają się szeroko echem na wsi w województwie lubelskim. Chłopcy coraz liczniej włączają do legalnych organizacji SL i „Wici”, wzrasta działalność i siła KPP, którą chłopcy pracujący, wbrew prawicowym przywódcom ruchu ludowego i PPS, dąży coraz większym zaufaniem i sympatią. Pod hasłami frontu ludowego w setkach wsi wyżej wspomnianych powiatów południowej Lubelszczyzny odbywają się masowe zebrania, na których chłopcy i ukraińscy domagają się od władz naczelnych SL i PPS zacieśnienia współpracy z KPP. Rady sanacyjne przestraszone bojową postawą chłopów starają się przez stosowanie różnego rodzaju represji zahamować falę oporu chłopskiego, między innymi nie zezwalają na zebrania i wiece, aresztują czynniejszych działaczy robotniczych i chłopskich, a do opornych chłopów na wieś wysyła egzekutorów podatkowych. W poszukiwaniu tajnych ułówek KPP, rezolucji jednolito-frontowych, policja granatowa przeprowadza po wsiach rewizje, w czasie których bije i katusze bezbronnym chłopom, miodzie i kobietom. Represje i terror wzrastają po olbrzymiej manifestacji robotniczo — chłopskiej w Zamościu. Do licznych wsi powiatu zamojskiego, tomaszowskiego i powiatów sąsiednich zjeżdża silnie uzbrojone w karabiny maszynowe i auta pancerne oddziały granatowej policji ze sławną z okrucieństw szkołą policyjną z Gołędzinowa. W nocy z 16 na 17 września 1936 roku rozpoczyna się krwawa pacyfikacja, która trwa przez dwa tygodnie do dnia 30 września. Pacyfikacja kieruje osobiście ówczesny premier sanacyjnego rządu gen. Sławo-wski-Składkowski. W czasie tej krwawej pacyfikacji ślepacze sanacyjni mordują chłopów polskich i ukraińskich, kobiety i młodzież, niszczą domy i budynki gospodarcze, inwentarz żywy i martwy, aresztują masowo ludność wiejską. Chłopcy organizują opór, bronią się przed policją. We wsi Zuków powiatu tomaszowskiego chłopcy atakują policję, która rozbiła budynki i dopuszcza się okrucieństw nad bezbronną ludnością. Policja strzela do chłopów. Padają zabici i ranni. Na pomoc mieszkańcom Zukowa spieszą chłopcy z sąsiednich wsi i powiatów, napotykając po drodze na silne oddziały policji. W licznych krwawych starciach padają zabici. Ostrą nagonkę w tym czasie na pracujących chłopów prowadzą elementy faszystowskie spod znaku endecji oraz reakcyjny kler. Cały obóz reakcyjny w tym czasie zjednoczył się przeciwko walczącym chłopom. Jedynymi, którzy razem z chłopami walczyli i ponosili ciężkie ofiary, byli robotnicy.

z Iłowic i Żukowa

*

Jan Kapusta dzieli się następującymi wspomnieniami:
W przeddzień pacyfikacji policja wezwwała z naszej wsi pięciu chłopów i przetrzymała ich całą noc. Następnego dnia o wschodzie słońca przyjechało do wsi około 40 policjantów. Przywieźli ich podwozy z naszej wsi, które miały nakaz zgłoszenia się do sąsiednich posterunków policji.
W pewnym momencie policja ustawiła 15 furmanów w dwusze-regu. Policjanci zaczęli bić ich gumowymi pałkami do krwi, a potem policjanci szli przez wieś demolując mieszkania, rabali łóżka, stoły, szafy, niszczyli ubrania, kleraty, sieczkarnie, zboże wysypali do gnoju.
Sztandar miejscowego koła SL znalazłszy u mnie porwali na strzępy.

*

Na pomoc do Żukowa poszło z Iłowca 60 chłopów, część policji z Żukowa przeszła do Ciesznina. Przyjechał tam minister Składkowski i

połcił wyjazd policji do wsi Iłowic. Policja konna otoczyła wieś. Bliziej podeszła policja piesza, sołtysi rozkazano, zgromadzić chłopów przed Spółdzielnią Spożywców. W pewnej chwili oficer policji zapytał: czy wiecie, po cośmy tu przyjechali? Chłop Michał Szrem odezwał się, że „nikt nie wie”. Zaczęło Szrem bić kołbami. Po chwili oficer znów zapytał: „a teraz wiecie, po cośmy tu przyjechali?”, ale Szrem nie już nie odpowiadał.

Policja podzieliła chłopów na 10-osobowe grupy i poprowadziła je do zabudowań gospodarzy, rozkazując im niszczyć sprzęty, demolować narzędzia rolnicze. Kiedy chłop nie chciał, komendant policji krzyczał — „dać mu 25”. W ten sposób zmuszono chłopów, aby wraz z policją rabali siekierami podłogi, rozsyppali zboże, pruli poduszki i pierzyny, tukli naczynia kuchenne i wybijali okna, a potłuczono szkieł z szyb i naczyń, wysypwali do sieczki w żłobach dla koni i bydła.

Józef Gójski

JULIAN GAŁAJ

DECYDUJĄCY DZIEŃ*

Cieślak przysiadł bliżej Traczyka. Nie chciał, by go słyszał Traczyk — chłopak, może odebrała mu odwagę głośnie mówienia — ponura mina Traczykowej. Skulił się, zmalował. Ot, miałyby wrazenie — wyrobnik przyszedł do kutaka z prośbą o pożyczkę. Ale i Traczyk nie trzymał się po kutaku. Palił papierosa, pokasywał; siedział w kącie wsparty się o stoł, a na ręce głowę. Kułak mogłyby przyjmować wyrobnik w takiej pozycji chyba tylko po wielkim nie-szczęściu.

— To już jutro — zaczął z cicha Cieślak.

— Jutro.

— Jak mi Pietrek jeszcze raz przyjdzie tak późno ze szkoły, to ci też rozbije — rozlega się zdenerwowany głos Traczykowej. — Gdzie ty łazisz po lekcjach?

Syn Traczyka, Pietrek, mówił coś płaczliwie. W kuchni trzeszczyło wesoło ogniem i przeswiewała między fajkami i szparami blachy. Traczykowa poprawia fajkę.

— Dopóki tak szło to i szło — zaczyna znów Cieślak. — Wycho-dziło się na spółdzielnię, pracow-ało, ale bydlątka mogły zawsze sobie obejrzeć, jak ci się uwidziało. A teraz?

— Przecie nikt wam nie zabroni zaglądać do tamtej obory i kontro-lować Pazurka...

Traczyk mówi niechętnie, zmę-czonym głosem. Cieślak milczy.

— Już nie mówię, jak ktoś tam z tej biedry robi gipsiwa — odcu-dzi nagle od strony Traczykowej. W tonie jej była pełnia żalu i gnie-wu — już nie mówię, kiej kto jest w biedzie — powtarza jakby usiu-jąc trafić do swojego własnego roz-sądku — ale mnie i dzieciom chle-ba brakowało? W garnku nie mia-lam co włożyć? Na ubranie nie było mnie stać? I co teraz? Jak za-prowadzić — kobieta zwraca się bezpośrednio do skurczonego mę-ża — jak zaprowadzić te bydlątka i zostawisz oborę i stajnię pustką, to kup od razu trumny i postaw je tam, niech stoja na umieszczenie człowieka i na większy żal. Niech by już człowiek wiedział, że miał w domu pogrzeb. Bo to jest to samo co pogrzeb.

— Czyśta się powściekały? — zerwał się Traczyk urósłszy nagle pod sam pulap. — Bydlątka, by-dłątka. Człowiek sam ze sobą się męczy, bo nikt nie jest z żelaza, a te tu jakby, się oba, zmówiły. By-dłątka, Przecie, zostają ci dwie najlepsze krowy, cielak, świniak, kury. Mało jeszcze będziesz miał tego szamraczwa? Bydlątka! Mnie gorzej cholera ciska, bo dla mnie zwierzak to był wychuchany, wy-dmuchany, a ta mnie męczy i męczy. Zapisaliśwa, wie, wzięliśwa w spółdzielnię już tyle roboty i co tu wiercić w zastarzałej ranie. Mnie honor nie pozwoliłby się cofnąć; wszystko by się śmiało ze mnie. A wy Jasku — napadł Traczyk na Cieślaka — zaczynacie się rychło wczas rozklejać.

Traczyk stał nie wiedząc, co ro-bić z rękoma, z całym sobą. Wró-

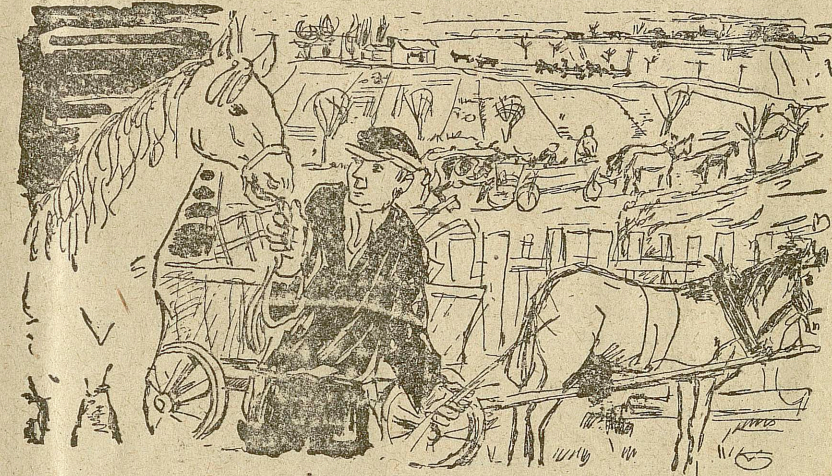
cił po mału na poprzednie miejsce. Obie dłonie położył na kolanach, jakby podkreślając gotowość do na-stępnego skoku.

— Nie krzycz, Józef, nie krzycz — łagodził spokojnie Cieślak. — Tu nie chodzi o nic innego, ino o to, że w człowieku nie ma pewności, czy się zamieniło siekierkę na kij. Bo do tej pory — rozumiem — każdy wykańczał swoje: oziminy, okopo-we łaki... Wiedzieli, że jak nie pojedzie na spółdzielnię, to u sie-bie będzie miał zajęcie. A teraz, kiejśwa już wstę na jeden ściot, to co będziesz człowieku robił, gdy nie będzie zajęcia w spółdzielni? Będziesz pluł i łapał i myślał, że inne, że z hodowlanej grupy, czy z podwórkowej, czy też z ogrodniczej zarabiasz dniówki a ty, z polowej, gapisz się i tykasz sline. I będziesz czekał, aż cię zawołają łaskawie do roboty i aż ci łaskawie wpiszą do zeszytu tę wymęczoną dniówkę. Dobrze, że teraz ty, Józef, jesteś kierownikiem polowej. Ale gdy zro-bią tym kierownikiem takiego łam-gę Zajacę, albo, nie daj Boże, Najdeczka, to, człowieku, czysty śmiech. Ja się do roboty urodziłem i przy robocie chce zedchnąć. Ale chcę zedchnąć ze starości a nie z głodu. Tak widziś, Józef.

Traczyk kręcił głową długo, z namysłem. I nagle Traczyk zaczął po malutku, zatrzymując się co chwila:

— Jak brałem ziemię po ojcu, to myślałem, że spokoła mnie naj-większe szczęście w życiu. Cóż,

rze stęka krowa, bo ją dzieciak zgonił, a w chlewku zdycha świni-a, a szkapso kapie zoiżowatą fle-gmą. I dzieciak ci gorączkuje i ko-bięta zleża. To jak siedzą tutaj — tak wyznają jak na świętej spo-wiedzi — patrzalem w niebo i mo-dliłem się i czulem się sam, zupeł-nie sam. I powiedzcie, Jasku, szcze-rze, pomóż! Kiedy bezinteresownie jeden łubniewiak drugiemu w po-trzebie? Zainteresował się jeden drugim, że trzeba tamtemu zao-rać pola, ściąć zboże, wykopać karto-fle, bo tamten leży chory? Powiedzcie szczerze... Potem los mi się uśmiechnął — nie mogę narzekać. Ogierek się podciągnął, nauczyłem się gospodarzyć. Ale powiedzcie, Jasku, gdyby mi się znowu noga powinęła, gdyby zaraza wytknęła moje świnię, gdyby zachorował, gdyby budynki moje się spaliły, gdyby mi prawdę nie miał co w garnku włożyć — to nie cieszyłby się wszyscy, którzy mi dzisiaj za-zdroszą? A spółdzielnia? Ja się nie rwałem do podpisania statutu, ja — przyszanam się — chciałem naj-pierw popatrzeć, co spółdzielnia po-każe. Nie udało mi się to. Ale za-mim podpisałem statut, 50 razy obróciłem go na wszystkie strony. Tam punkt po punkcie jest wy-szczególnione wszystko, co się ty-czy spółdzielni. Wiem, dlaczego się spółdzielnia zakłada, wiem; co się dzieje z ziemią, co z inwentarzem; wiem, komu przysługuje praca w spółdzielni i na jakich warunkach. To nie tak, że będę z gospodarza



rys. Stefan Gierowski

ścierwo, ja się urodziłem na gospodarza. A ile razy potem ścisłalem zgrabiałe, pokaleczone ręce i ze łzami w oczach mówiłem do siebie: Wolej kamienie na sosie tłuc, niż być gospodarzem. Wolej zjeść raz dziennie suchy kawałek chleba, niż tak się męczyć. Zasiałeś jesienią, czy na wiosnę, zasadziłeś i czekasz. Czekasz i wiesz, że jak ci nie uro-śnie — leżysz na obie łopatki. Be-dziesz głodował. Dlatego czekasz... Zazisz co dzień, przyszedłszy się... Wschodzi, czy nie wschodzi, pokazu je się z ziemi, czy nie pokazuje. Słońce pali, gleba woła deszczu. Patrzysz na niebo, patrzysz tu, pa-trzysz tam — nic — susza. A w obo-

na najemnika, to wolałbym po-stronkę sobie na szyi zawiesić. Pra-ca nie będzie dysponował jeden, pracą planują wszyscy, ogólne ze-branie, bo ogólne zebranie decyduje o wszystkim. Wiem dalej że statu-tu, co się robi z dochodem; wiem, ja-ka część dochodu idzie na opłacenie pracy, jaka na inne wydatki, na Fundusz Społeczny a więc i na mo-je utrzymanie w starości. Wiem, ja-kie mam prawa i obowiązki jako członek spółdzielni, jakie obowiązki i prawa ma zarząd; wiem, że każdy wydatek musi być zaksięgowany, że nikt nie robi na lewo, bo buchalteria do tego nie dopuści. I co więcej trzeba? Nie rozkrwawiajta mi serca bo i ja się męczę. I łubniewiaki — te spoza — się na mnie boczą i ka-walerka nieraz rzuciła za mną wz-zwiskami, jak jechałem po wsi na rowerze. Ale ja ścisnąłem zęby. I sobie tak mówię: z początku na go-spodarcę ręce mi opadały i drżałem ze strachu, że się zblamuje, że może jeść nie będę miał co, mimo że go-spodarka nienajmniejsza. Potem wciągnąłem się w robotę i dawałem sobie radę. Tak samo i teraz w spółdzielni — z początku człowiek się boi, a potem — kto wie — tak się przyzwyczai, że bez spółdzielni nie będzie mógł żyć. Już teraz my-szę nocami, gdzie ludzi zostawić, jaką robotę wykałkować dla wszystkich, a im dalej, tym lepiej będzie się człowiek wciągał. A przecie mamy działki przyzagrodo-we — mogą tam w każdej wolnej chwili coś szturgnąć — mamy swój inwentarz, ogród... A ulepszenia w gospodarce zespolowej? Nie zapo-minajta o maszynach. Nawet na ta-ki burak znalazły się sposoby i nie trzeba go męczyć rękami. Radom mi szczegółowo opowiadał, jak wyglą-da kombajn buraczany i jakie są jego możliwości. I nie zapominajta, że te nowe sposoby w rolnictwie zwiększą urodzaje, że z zaoranych miedzi, dróg i nieużytków będziemy mieć o tyle więcej do podziału. A co do łamałóg — od nas zależy byś-my ich nie wybierali do władz. Zresztą oni są dzisiaj łamałogami, a jutro mogą nimi nie być. I z dworu-sami przestana. Nie ma dworów, nie ma dworów.

Traczykowa podparła brodę dło-nią zwycajam kobiet wiejskich i słuchała. Pietrek zapatrzył się w ojca i siedział z otwartą gębą. Cieślak rozprostował się nieco: — Niech tam — rzekł z rezygna-cją zdając się ulegać argumentom Traczyka. — Zeby aby była robo-ta i chleb, to niech tam. (Ale jak mi kto moje bydlątka ukrzywdzi, to jak nie jestem zająca, tak w mor-dę strzelę. Zgodziłeś się, łachudro, pilnować inwentarza — pilnuj, ale morzyć bydlątka — wara). A może ja zym je na własnych rękach wy-chował, a może ono dla mnie jak ten dzieciak, dla którego od gęby sobie odejmowałem?

Głos Cieślaka ostry z początku, syczący zadrgał przy końcu zdra-

dlowie. Traczykowa pociągnęła no-sem; schyliła się ku podłodze niby coś tam robiąc, by ukryć staczają-ce się po policzkach łzy. Traczyk wyciągnął drżącymi ze wzruszenia rękami papierosa i zapalił go z trudnością, psując przy tym kilka zapalek.

Nazajutrz słońce pokazało się późnym rankiem rozeznawszy po-przednio stawiające mocny opór chmury. Cieślak siedział w stajni od świtu i co rusz dosypywał owsa swoim łubniewiakom, gaskał je, czyścił... Po każdej takiej czynności siadał znowu na progu i patrzył su-chymi, rozpalonymi niezdrowym blaskiem oczami. Starą kobieję oddziedziczył po siostrze, młodą, tryleńnią żrebicę wychował sam. Rosła była, krótka w wianachach, zaparta... Satisfakcję sprawiało ro-bić nią. Przy braniu ciężaru nie szarpała zwycajam koni lekkich albo znarowionych. Naciagała po-stronki powoli, próbowała... Zda-rzało się, iż odmawiała pociągnię-cia. Ale wtedy Cieślak zamiast bić ją i pienie się ze złości, jak robiłi niekiedy, badał przyczynę. I prze-ważnie dochodził do wniosku, że te-ren jest trudny. Trafiało się na bruz-dę lub pomniejszy rowek, to znowu ziemia rozmiękała. A przecie karto-fle, buraki nie rosną na łakach, czy na szosie. Rosną na oranym grun-cie i trzeba je stamtąd wywieźć.

Cieślak wyrzwał na dwór, na wóz wyładowany niezdanymi jeszcze a zadeklarowanymi jako wkład in-wentarzowymi narzędziami: broną, plugiem i dołownikiem i... wrócił się. Ubrał konie w uprzęż, wypro-wadził razem do wozu. Zerkał na dom jakby oczekując, że ktoś się ukaże. Westchnął... Nikt się nie zja-wiał. Kobieta mu zapowiedziała: gdy wyprowadzi krowy do „kol-chozu” nie wyjdzie wcale i nigdy do żadnej roboty. „Konie — po-wiedziała — możesz sobie prowadzić, gdzie chcesz, a krowy są moje. Nie pocieszaj mnie dwiema — w ws-tykie są moje”.

Wyjeżdżając na drogę Cieślak rzucił okiem w kierunku byłej resztów-ki. Mignęły mu sześcioma blo-kami domki działkowców i przy-tulone przy drzewach resztówko-nych sterty żyta i pszenicy. Zczęść ich wymościło — pozostałe czeka-ły na młockę. Lecz oto oczy Cieśl-aka uderzyły inny widok. Drogą je-chali w tym samym kierunku co i on oba Niecki i przy wozach pro-wadziły krowy. Cieślak odruchowo wstrzymał konie, lecz po naryśle machnął batem... Pojechał dalej... Mignął Niecków wiojących na nie-go, by się zatrzymał i dognął Jan-tola, Traczyka i Niećwierza. Cieśl-akowi przypomniała się mobilizacja z 1939 roku. Na tę mobi-lizację co prawda chłopcy jechali tłumnie i z kłatwami. Teraz kłatw nie słyszał... Tylko słyszał cmo-kania, tajone przed drugim west-chnieniem, mocniejsze i słabsze po-wsiwiania batami...

Na podwórzu byłej resztówki gwaro było i tłoczno. Stolarczyk ochrypniey biegał od obory do stodoły i z powrotem, wydawał po-łecenia, radził się, sprzącał... W stodołę urzędował Kolec, w oborze największy ruch robił stary Pazur-ek. Ustawiał krowy (było ich kilka na razie), wiązał je, poklepywał, podrzucał im siano, kończył... W dniu tak uroczystym nie zwracał uwagi na konieczność oszczędzania, na normy wyliczone w preliminarzu paszowemu. Krowy porykiwały za-łożnie, niektóre opierały się wejść do środka.

Obok obory stało kilka kobiet — Muszyńska, Stolarczykowa, stara Zapółowa, Niepiecia... Stała też Naj-deczkowa Róża. Coraz to przyby-wał na podwórze ktoś z „rodowitych” z koniem, krową, bądź z koź-mi i krowami. W milczeniu wyprę-gał konie Cieślak Jan, w milczeniu brat jego — Wojciech, w milczeniu wypręgały Niecki, Jantol, Wojtek Kowalski. W pewnej chwili — ostatni już — wjechał na podwór-ko w jednego konia i z jedną krową uwiązaną do wozu Kłimek Sta-nisław. Jako ostatni zwrócił na sie-bie uwagę wszystkich. Tym bar-dziej, że wyglądał jako by inny, niż zwykle. Zwykle blizyszczyli Klimko-wi oczy życiem, kąśliwi koło ust drgały wesołością. A dzisiaj? Na przystojnej twarzy Klimka widnia-ła pod lewym okiem fiołkowa śli-wa, zaczerwienione oczy mrugały. Podjechał Kłimek koło stojących już wozów i zatrzymał się. Szarpnął konia, zeskokczył na ziemię. Stanął zastanawiając się, od czego za-cząć; od wypregania konia, czy od odwiązywania krowy. Zbliżył się do niego jedyny z łubniewiaków wesoły lub udający wesołego Dąbek Jasio.

Co tak późno? Klimek usiłował się uśmiechnąć. Skurczył twarz w nienaturalnym skrzywieniu.

Co ty? Uderzyłeś się? Skurcz nie miał. Klimek schylił głowę.

Pobiłeś się z kim? — Z kobietą i teściami. — Cholera. I dałeś się pobić? — Ja nie biem. Oni bili.

Rozmawiających otoczyło więcej ludzi. Mitręga, Maurek, Zajac, Nie-peć... Twarze ich spoważniały.

Julian Gałaj

*) Fragment powieści.

KRYSZYNA PALYS

OWCZAREK I INNI



foto WAF

O, radziecką kopaczkę chcę zabrać na cały dzień z budowy? To niemożliwe. Mózg dać sobie radę bez niej! — A kiedy rozmowa na drugim końcu przewodu telefonicznego nalegała dalej, tow. Pajek przecząco rozwinął krótko: — Z tej budowy nie dostaniecie — i odczołgał słuchawkę. Wydał jeszcze dyspozycję bazie transportu w sprawie zakupu opon samochodowych, przy czym zapisał w notatniku: „Poruszyć na najbliższej naradzie załogi sprawę właściwego oszczędzania”. (Skąpy kierownik bazy tak oszczędzał, że odczuwano brak opon samochodowych). Potem dopiero znalazła się chwila czasu, o jaką trudno w Lubelskim Zjednoczeniu Budownictwa Przemysłowego.

— Rozmawiać z ludźmi na budowie Fabryki Samochodów Ciężarowych, sprawa nie łatwa. Oni na to nie mają czasu. Podejmuję się tylko zawiązać w na miejsce, zobaczycie jak pracują — postanowił.

Za kilka minut samochód podskakiwał na kociach łbach wąskiej, krętej ulicy, przecinającej przedmieście Kalinowszczyzna. Na ostrych zakrętach miało się wrażeń, że jeśli wóz „zarzuci” — wyrzuci tylnymi kołami o szyby odra-panych domostw, które bez ładu i składu przysiadły z jednej i drugiej strony jezdni.

— Przedmieście nie pasuje już do naszej fabryki. Autobusy miejskie ledwie mieszczą się w ulicy, a przecież dowożą co dzień setki ludzi do pracy — zauważył Pajek. — Budowa — to inny świat.

Nie przesadzał. Na krańcach Kalinowszczyzny rozciąga się stuletnia kraina rzeczywistości, w której ludzie zwykli i prości biorą udział w sprawach niezwykłych. Razem z murami wielkiej fabryki rośnie nowy kolektyw ludzi.



foto WAF

kształtuje się nowy typ człowieka, odkrywającego na tej budowie nowe wartości. Dlatego może tutaj wszystkim tak bardzo spieszą.

Czas można mierzyć rozmaicie: liczbą przepracowanych dni, wypuszczonej z fabryki metrów tkanin, wydobytych z kopalni ton węgla, można go też oznaczać według metody zachodnich monopolistów — sumą zebranych do kieszeni zys-

ków, czy też godzinami lub tygodniami strajku wyzyskiwanych robotników. Na budowie Fabryki Samochodów Ciężarowych mierzy się go kubaturą nowych murów, metrami biezącymi szalowań i bocznic kolejowych, metrami kwadratowymi zabetonowanej powierzchni.

Gdy przedzieraliśmy się z sekretarzem organizacji podstawowej towarzyszem Węgrzynem wśród stosów cegieł, zwalów żwiru i kopców żelbetonowych słupów, na jednym zakręcie minął nas młody człowiek.

Towarzyszu Wargocki, chwilę — powiedzcie, kiedy konczycie szalowania na waszej hali — zaczął go sekretarz.

— Wybaczcie, biegne do cieśli, wstąpię na miejsce robót — i pobrał przez płach w kierunku rusztowań okalających dwuekstarowy plac.

Był to młody technik Longin Wargocki, przed dwoma laty jeszcze uczeń Lubelskiej Szkoły Budownictwa, teraz kierownik budowy hali produkcyjnej narzędzi. Pod okiem Wargockiego bratniej cieśli w ciągu sześciu tygodni zużyły na szalowania dwa tysiące metrów sześciennych drewna. Stanowił to mniej więcej dziesięć tysięcy pni. Cały las trzeba było więc zwieźć do budowy tylko jednej hali.

— Na miejscu Wargockiego siedziałoby dawniej na tym odcinku kilku inżynierów, ale tempo robót nie równałoby się dzisiejszemu. Młody technik nie widzi jednak świata poza swoją halą, która przestrona mu wszystkie inne sprawy — opowiada sekretarz.

Podobnie spędzają dni kolega Wargockiego Jan Sidor, kierownik robót na hali obróbki drewna i jego zastępca Edward Olejnik, murarz awansowany społecznie. Kiedykolwiek zająć na budowę — ci trzej zawsze tu są. Rankiem, na nocnej zmianie w niedzielne popołudnia kręca się, oglądają, opukują szalowania i słupy, kombinują i obliczają.

Olejnika zastaliśmy w małej budce skleconej między górami materiałów budowlanych. Szukał czegoś w planach. Drobny, chudy syn murarza z Lublina, którego dyrektoria LZBP nie zamieniałaby za trzech inżynierów, stylem telegraficznym opowiedział o swej przeszłości. Z kielnią nie rozstawał się od lat chłopięcych. Rzucił ją tylko raz, gdy wziął do ręki karabin po uwolnieniu Lubelszczyzny od okupanta, aby go gnać do Berlina. Egzamin mistrzowski złożył i kursy kreślarskie ukończył już w Polsce Ludowej. Kiedy wspominał o szkole technicznej, Olejnik wskazywał na halę:

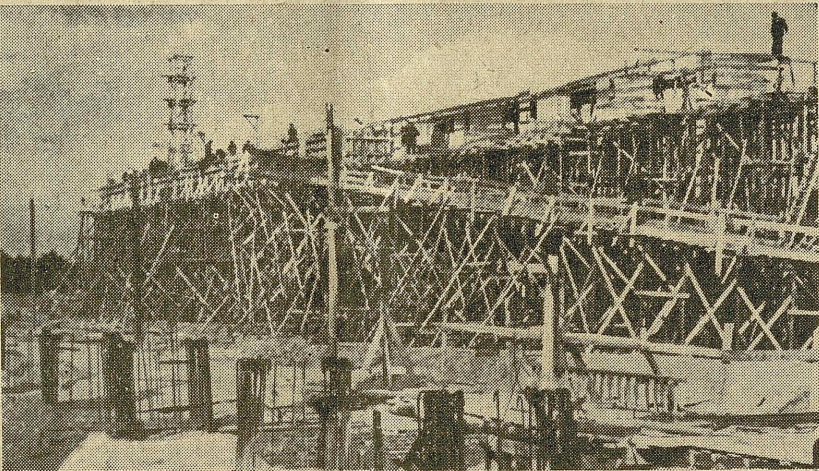
— Ma być gotowa za kilka tygodni, na robotach trzeba zostawać

po kilkanaście godzin. Nie sposób odchodzić wieczorem na naukę. Tutaj mam najlepszą szkołę i przygotowanie do nauki teoretycznej. Dwóch młodych absolwentów Lubelskiej Szkoły Budownictwa — Wargocki i Sidor oraz awansowany uzdolniony robotnik, to pierwsze jednostki z kadr nowej inteligencji technicznej, wyrastającej na budowie.

CI Z KŁODY I ZABNA

Rodzina Owczarków pochodzi ze wsi Kłoda w województwie kieleckim, z tej ziemi, gdzie się korzec sieje, kope zbiera a kopa korzec daje — jak pisał Żeromski. Stamtąd naród wędrował dawniej za chlebem, bo na miejscu go nie starczyło. Szesnastoletni Antek Owczarek opuścił chałupę ojcowską i poszedł na zarobek do tartaku Zamajskich, aby w domu była jedna gęba mniej do karmienia. Zniósł niejedno od wielu majstrów, zanim nauczył się ciesielsstwa. Zarabiał potem u prywatnych przedsiębiorców, wędrując od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka. Za Polski Ludowej pracował przy budowie mostów na Radomce i Wiśle, a było na kogo: dwóch synów i sześć córek chowało się w domu. Dziś razem z ojcem Antonim stawiają szalunki i rusztowania dwaj synowie. Michał, ZMP-owiec, jeszcze jako junak 47 brygady SP zorganizował młodzieżową brygadę ciesielską z kolegów z rodzinnej wioski. Postawili na budowie 13 baraków, zaś podłogę dziewięć metrów długą i do pięciu szeroko układali w ciągu trzech godzin. Chłopca wysyłają tej jesieni do szkoły technicznej. Ojciec zostaje z młodszym synem Czesławem, ale za to w rodzinie przynajmniej jeden wykształcił się na inżyniera.

Awansu na budowie doczekał się też krajan Owczarków, Jan Purchała z Kozienic, chłop pomarszczony jak wyschnięta rzepa, bo szósty krzyżyk dźwiga, ale ambitny i



krzepki w rękach, jak młody parobek. Wyróżniał się wśród cieśli, więc 1 Maja awansował na stanowisko majstra.

Więć obsadził nie tylko miejsca w brygadach ciesielskich. Na stu robotników dziewięćdziesięciu — to okoliczni chłopcy. Takich na Stanisław Zdun, z gminy Zakrzew, w powiecie krasnostawskim, przyjechał niedawno, wyciąga już po 150 proc. normy przy robotach zbrojarskich. Zakrzew i Wysokie powtarza się coraz częściej w kartach pracowników na budowie.

Miejsce produkcji żelbetonowych prefabrykatów nazywa załoga „fabryka Gębali”. Nazwisko Gębala zna każdy, kto interesował się ruchem budowlanym Lubelszczyzny. Przed dwoma laty, kiedy ruszały roboty w Lublinie, Adam Gębala, Siemba i Małej utworzyli na budowie osiedla robotniczego, pierwszy zespół trójkowy i zapisał się w kronice tutejszego budownictwa, jako pionierzy murarki zespołowej. W osiedlu mieszkali już od dawna robotnicy. Adam Gębala zastępował kierownika budowy w Zjednoczeniu Budownictwa Msta, Siemba został majstrzem, a Małej — dyrektorem. Mieczysław Gębala kierownik robót na osiedlu

przed dwoma laty prowadził w Fabryce Samochodów Ciężarowych prefabrykację elementów żelbetonowych. Wszyscy pochodzą z Zabna w powiecie tarnobrzeskim, słynnej wsi, w której w każdym domu można znaleźć murarza. Za dawnych lat mężczyźni z Zabna wyruszali każdej wiosny na budowy stołeczne, budowali Stalową Wolę, dziś starsze pokolenie przez cały rok pracuje na licznych robotach w całym kraju, młodsze poszło do szkół technicznych i na wyższe uczelnie. Wiś murarzy przemienia się w wieś inżynierów i techników.

W „fabryce Gębali” zatrudniono najwięcej kobiet. Niewielka, okrągła i rumiana Marysia Kuwałkówna z Nierzwy Dużej komenderuje energicznie: Podajno „uszy”! Tak nazwała haki, za które podnosi się później element przy układaniu dachu. Justyna Bednarczyk z Samoklesz lubartowskich, rosła i smukła dziewczyna, zarabia przy prefabrykacjach do 900 złotych miesięcznie. W czwórce z Kuwałkówną, Pusiówną i Kowalczykówną potrafią wykończyć dziennie po 12 i 15 elementów, podczas gdy normę stanowi 8 sztuk.

UNIERSALNE BRYGADY

Teren powstającej fabryki można objąć okiem ze szczytu szalowań ciesielskich. Tuman pyłu pod lasem, podkreślającym linię horyzontu, znaczą miejsce robót na przyszłych bocznicach kolejowych. Będzie ich 30 kilometrów, dróg bitych — 20 km. O budowę bocznic

runkowej. Załogę opanowała konsternacja. Jak to, pobudowaliśmy na miejscu sposobem gospodarczym kabiny lakiernicze, zaś „spec” nie mogą na czas powyżać szyn? O to ma się rozbić cały plan? — stawał sobie niejedną pytanie.

— Nie ma rady, tutaj spec decyduje — usłyszał kotlarz Mańko wywody monterów z sąsiedniego stanowiska, gdy schodzili z nocnej zmiany Bogdanowi zabłyśły oczy, zdawało się przez chwilę, że zimne światło sepek jarzeniówek zawieszonych w hali skoncentrowało się w źrenicach kotlarza.

— Niby po polsku mówicie, a zrozumieć was trudno — wypalił. O proste wygięcie szyny chodził, a wy gotowicie zrezygnować z terminu uruchomienia produkcji, przecież mamy przed sobą tylko kilka tygodni! Po babku rozumiecie, tu trzeba nie umywać ręce, ale szukać jakiejś rady.

— No, to szukaj sobie, skoroś taki mądry — padła zaczepna odpowiedź urażonego.

Mańko nie odpowiedział, zmilczał. Radę znalazł, po pewnym czasie zgłosił się u kierownika robót z wiadomością o skonstruowaniu przyrządu do gięcia szyn. Po udanej próbie poszedł do monterów i rzekł krótko:

— Macie moją odpowiedź. — Pieron z was, nie kotlarz. Któż mógł przypuszczać, że będziecie giąć żelazo jak wosk. Niepotrzebnie się wymądrzałem — przyznał tamten.

NIEODZIENNE METODY WERBUNKU Wyszukiwanie nowych ludzi, zaludnianie 26 bloków hoteli robotniczych, pobudowanych obok terenów fabrycznych, to specjalność towarzyszy Pajka i Zaka z Lubelskiego Zjednoczenia Budownictwa Przemysłowego. W ślad za ich wyprawami na wieś ścigają na budowę nowi robotnicy. Wykonują początkowo po 60 — 70 procent normy, po kilku miesiącach liczby wypisywane na tablicach osiągnięć obok ich nazwisk zwiększają się o całe dziesiątki, często przybywa i druga setka.

Problem zapewnienia kadr Lubelskiemu Zjednoczeniu Budownictwa Przemysłowego, którego załoga wzrosła od stycznia do września trzykrotnie, rozwiązują ci towarzysze w niepowszedni sposób. Zarzeczali np. pewnego razu do Zakrzewa, w powiecie krasnostawskim. Kierowca przystanął pod chłopską zagrodą, aby nabrać wody do chłodnicy.

— A ty, nierobo, w pole do roboty, a nie zabawiać się struganiem. Cały dzień przebusumanibys na tej dabaninie — wykrzykiwała za płotem baba piskliwym jak zgrzyt piły dyskantem.

Towarzysz Pajek pełną furtkę, spłoszył gęsi, które głośnym wrzaskiem zagłuszyły gospodynię. Babcia widząc nieznanego przetrwała w połowie słowa, patrzyła tylko groźnie na chuderlawego chłopca. Taki był mizerny i nijaki, że chy-

wagi nad bezbronnym chłopstwem. Jeden z obrońców zwrócił uwagę na to, że w szkole policyjnej, w Gole-dzinowie, uczono podobno rozpraszć tłumy. Dlaczego policja nie zastosowała tutaj tych „umiejętności”, lecz strzelała do bezbronnych?

Jako świadek stanęła wdowa po zamordowanym prezie SL, Widzisz, będąca w ciąży, chciała się dostać do męża, ale została brutalnie skopana i pobita. Zemsta. Później przyjechała ciężarówka, na którą policjanci wrzucili zabitych i konających. Samochód odjechał do Mszany, za nim pomaszrowali policjanci.

Tyle mówi relacja Marcina Stożka.

Sprawa Kasinki miała swój epilog w sądzie. Procesów postrajkowych było dziesiątki. W ciągu kilku miesięcy po wypadkach strajkowych donosiła o nich prasa, tak zresztą jak i o aresztowaniach, które objęły tysiące ludzi. Sprawa Kasinki rozpatrywał sąd w Mszanie Dolnej 3 i 4 stycznia 1938 roku. Na ławie oskarżonych nie zasiadli oczywiście granatowi zbrodniarze, ale ci, których nie trafiły strzały policji. Proces jasno wykazał, gdzie są prawdziwi oskarżeni. Uosabiał ich zeznający jako świadek oskarżenia policjant Zabawa, który musiał przyznać, że strzelano bez ostrzeżenia, z odległości kilku kroków oraz że policja nie próbowała rozprze-

żyć tłumy pałkami, mimo ich prze-

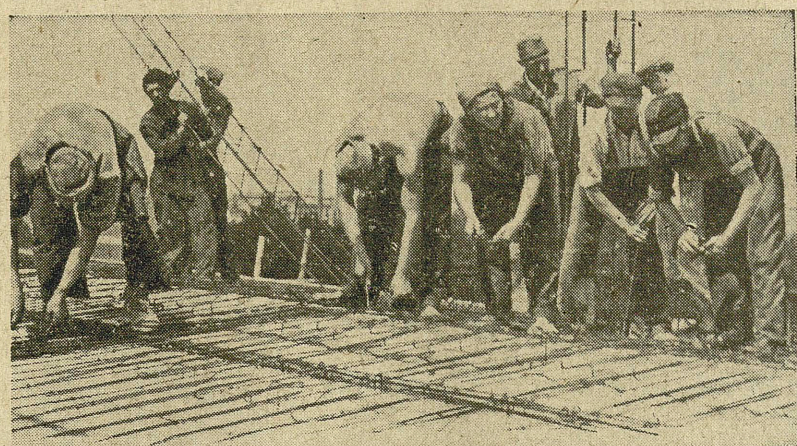


foto M. Frankfurt

ba i do trzech zliczyć nie było mu łatwo.

— Jakoś nie śpieszy ci się w pole do roboty, wolisz majstrować? A możebyś poszedł do pracy na naszą budowę, nauczyłbyś się tam porządnego rzemiosła? — zapytał Pajek.

Chłopak zerknął kąciakiem oczu w stronę matki.

— Ja bym ta poszedł i dziś, mammy zapytajcie.

Z babą dogadali się jakoś. Za kilka dni Jaś pojawił się z małym kuferkiem na budowie. Teraz, kiedy w Zakrzewiu sepuje się plug, brona czy co innego, matka nabrzmiała dumą głosem oznajmia:

— Przyjedzie w sobotę Jaś z fabryki, to naprawi.

Z Bednarczykówną było trochę inaczej. Wstąpił w Samoklesz w Lubartowskim do chałupy napić się mleka, bo upał był wielki. Justyna siedziała na ławie i ziewała, spoglądając w okno zastanowione do połowy gałązkami kwitnącej fuksji.

— Nie wesoło ta u was, w samokleskach!

— A czemu? — podniosła na niego swe oczy.

— U nas wesołej — dorzucił dyrektor. — Bo co fabryka, to fabryka.

— A cóżbym ja tam robiła — spytała nieufnie.

— Tam takie pracownice, jak wy, zarabiają lepiej od urzędników. Nie wierzycie, przyjedzie zobaczycie. Zostawmy adres. Jeśli nie będzie się wam podobało, nie łatwiejszego, jak wsiąść na samochód i wrócić do Samoklesz.

Za mleko zapłacił i odeszli, pozostawiając dziewczynę w rozterce. Za kilka dni przyjechała, na wieś wracać nie chce.

Trzy pierwsze hale Lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych stały się szkołą dla kilku tysięcy ludzi. Wielka budowa przyciągała załogę jak olbrzymi magnes, bo — „jakżeż odejść od takiej roboty, która przynosi dobro nie tylko nam, ale da je niezadługo dziesiątkom tysięcy innych? — Tak to określił po swojemu majster ciesielski, Antoni Owczarek ze wsi Kłoda.

Krystyna Palys

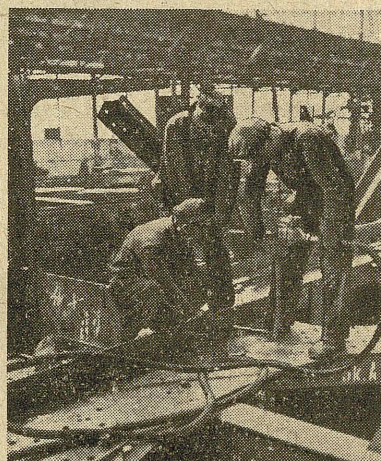


foto Datko

JAN KALKOWSKI

KASINKA

Jadąc do Kasinki, sumowałem zebrane fakty. Myślałem, że nie łatwe zadanie miałby historyk ruchu ludowego, gdyby z roczników przedwojennej prasy chciał poznać przebieg pamiętnego strajku chłopskiego w 1937 r. Dopiero po zakończeniu strajku ukazał się komunikat P. A. T. Krakowski „Na przód” napisał wtedy, że „o przebiegu akcji politycznej SL na terenie części południowych województwa RP mógł podać tylko dane zawarte w tym komunikacie”.

A przecież dane, nie objęte komunikatem, nie zniknęły po dziś dzień. Oglądając je można — dokumenty straszącej historii — na cmentarzach Rakbi, Wiśnicza, Grębowa, Jarostawia, Majdanu Stenawskiego, Dynowa, a także Kasinki Małej. Cmentarz ten jest mały i biedny, tak jak i sama wieś rozłożona w dolinie między szczytami Górów. Wśród wysokiej trawy i krzewów dzikiej róży znaleźć można mogiłę, niepodobną do innych, szeroką na dziewięć trumien, które spoczyły w niej w sierpniowy dzień 1937 roku. Na nieco już pożółkłej tabliczce so-

Stanisław Bolsega i Jan Jakubiak.

Z cmentarza droga prowadzi wzdłuż szybkiego potoku. Z lewej szumi rzeka, z prawej zielenieją żagony ziemniaków z żółtymi ściernikami na przemian. Jest sierpień, wy dzień, podobny do tamtego, a jakże inny. Minąłem robotników pracujących przy budowie nowego mostu, przed szkołą murarza z wiadrem wapna. Szkoła jest w przebudowie. Zyskała dwie nowe sale wykładowe. Nie może w niej brnąć miejsc dla chłopskich dzieci. Analizuję — jak stwierdził kierownik — nie ma już we wsi.

Ta sama droga szedł 23 sierpnia 1937 roku oddział policji. Prowadził ich aspirant Niedziela. Tu niedaleko, na nadrzecznej łączce nastąpiło starcie z chłopami Kasinki.

Rano, około godziny ósmej — opowiada Marcin Stożek, majster przy budowie mostu — przyjechał najpierw patrol policji uzbrojonej „po zębom”: hełmy, karabiny, gumowe pałki. Na granicy wsi patrol ten spotkał się z pikietą strajkową. SL-owcy, Jakub Krzak i Andrzej Drabik zostali zmasakrowani pałkami. Po rozpędzeniu drugiej pikiety już w samej Kasince przy moście, patrol pojechał dalej, ale kiedy samochód z policją wracał przez wieś, w drodze do Mszany Dolnej natknął się na tłum chło-

pów wzbudzony masakrą „chłopców z Goleczynowa” — osławionej szkoły policyjnej. Chłopi postanowili nie ustąpić policji; wezwania do rozejścia się nie pomogły. Przed patrolem nacierającym na ludzi, zaczęło się bronić. Kowal, Józef Szczepka miał tylko w rękę sekany kij, ale uzbrojeni w broń pałną „granatow” stchórzyli. Coñeli się i pojechali po posilki do Rakbi.

Wiedzieliśmy, że policja wróci — opowiada dalej Marcin Stożek. — Ludzie zaczęli się cofać do górnej części wsi. Wezwani przez gońców zaczęli też nadciągać chłopcy z okolicznych wsi. W południe z auta ciężarowego, które zatrzymało się koło mostu, wyszło 38 „granatowców”. W szuku bojowym ruszyli wzdłuż potoku, mineli szkołę i zajęli pozycję w nadrzecznych olszynach. Potem rozdzielili się na dwie grupy, chcieli obejść od tyłu. Chłopi przeszli na drugą stronę rzeki. Została gromada kobiet i dzieci. Nagle ktoś krzyknął: — Policja bije kobiety!

Chłopi ruszyli im na pomoc. Prezes miejscowego koła SL, Franciszek Widzisz, który jechał na koniu, zagroził drogę ludzom, aby nie dopuścić do rozlewu krwi. Czterech policjantów rzuciło się na tłum z pałkami. Jednego z nich Wojciech Mucha schwył za karabin i wciągnął między ludzi. Wówczas aspirant Niedziela bez żadnego ostrzeżenia, z odległości kilku kroków, dał rozkaz salwy. Pierw-

waży nad bezbronnym chłopstwem. Jeden z obrońców zwrócił uwagę na to, że w szkole policyjnej, w Gole-dzinowie, uczono podobno rozpraszć tłumy. Dlaczego policja nie zastosowała tutaj tych „umiejętności”, lecz strzelała do bezbronnych?

Jako świadek stanęła wdowa po zamordowanym prezie SL, Widzisz, będąca w ciąży, chciała się dostać do męża, ale została brutalnie skopana i pobita. Zemsta. Później przyjechała ciężarówka, na którą policjanci wrzucili zabitych i konających. Samochód odjechał do Mszany, za nim pomaszrowali policjanci.

Tyle mówi relacja Marcina Stożka.

Sprawa Kasinki miała swój epilog w sądzie. Procesów postrajkowych było dziesiątki. W ciągu kilku miesięcy po wypadkach strajkowych donosiła o nich prasa, tak zresztą jak i o aresztowaniach, które objęły tysiące ludzi. Sprawa Kasinki rozpatrywał sąd w Mszanie Dolnej 3 i 4 stycznia 1938 roku. Na ławie oskarżonych nie zasiadli oczywiście granatowi zbrodniarze, ale ci, których nie trafiły strzały policji. Proces jasno wykazał, gdzie są prawdziwi oskarżeni. Uosabiał ich zeznający jako świadek oskarżenia policjant Zabawa, który musiał przyznać, że strzelano bez ostrzeżenia, z odległości kilku kroków oraz że policja nie próbowała rozprze-

żyć tłumy pałkami, mimo ich prze-

PRZEWODNICZĄCY: To nie należy do sprawy. Gdyby mąż nie mieszkał się do polityki i do strajku, byłby żył.

WIDZISZOWA: Tak strasznie je-

PRZEWODNICZĄCY: To nie należy do sprawy. Zapadły wyrok. Z dwunastu oskarżonych, dziewięciu zostało skazanych na pozbawienie kary więzienia. Tryumfowała sanacyjna sprawiedliwość. „Spokój został wszędzie przywrócony”.

Nawet oświadczenie ówczesnego premiera Sławoja Skłodowskiego daje świadectwo klasowemu charakterowi chłopskiego strajku. Według niego strajk został przeprowadzony „przy pomocy rozgątnianej części członków Stronnictwa Ludowego, rekrutujących się prze-

ważnie z ludności małorolnej, lub zupełnie z ziemią już oddanej”. Kierownicy policyjnej pacyfikacji wiedzieli dobrze, że łamistrzami byli przeważnie wiejszy bogactwo.

Nie jest przypadkiem, że w procesie o zabicie w Kasince oskarżonymi byli wyłącznie małorolni i bezrolni. Nie jest przypadkiem, że aspirant Niedziela prowadził swych „granatowców chłopów” do górnej, biedniackiej części Kasinki, by tam prowokować krwawą rozprawę.

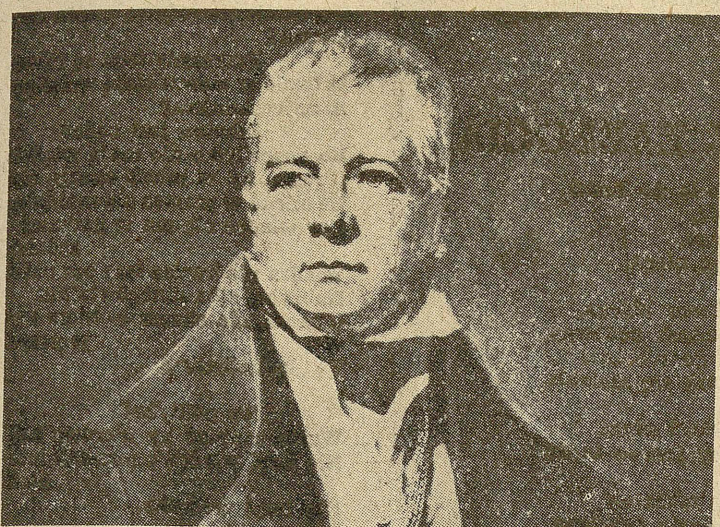
„Strajk ten przeraził burżuażję i faszystowską klikę sanacyjną” pisał w wydanej wówczas odezwie Komitet Centralny KPP.

14 lat dzieli tamtą Kasinkę od dzisiejszej, a jakże już innej. Ile razy myślę o tej wsi odnowionej stając mi przed oczyma murarz ubłolony wapnem. W górnej części wsi ukończono już budowę drugiej nowej szkoły. A i pracy znajduje dość chłop z przeludnionych górskich przysiółków. Najdzie ją tu na miejscu, przy budowie drogi i mostów na trasie z Lubienia do Mszany Dolnej znajduje ją w rozwijającym się przemysłu terenowym, czy Nowej Hucie. Wiele pojechało na Ziemię Zachodnią i jak żył sen wspomina orkę na stromiznach kasinkich. Odpływ młodzieży do szkół średnich i do przemysłu jest wielki. O przyszłość dzieci nie trzeba się martwić. To, o co walczyli chłopcy w Kasince w swoim strajku, dziś stało się rzeczywistością.

Jan Kalkowski

HANNA KIRCHNER

WIELKI PISARZ SZKOCKI



Walter Scott

W roku bieżącym mija 180-ta rocznica urodzin wielkiego pisarza szkockiego, którego nazwisko rozpoczyna epokę w dziejach rozwoju powieści. Sir Walter Scott urodził się w 1771 roku. Lata jego młodości zamknęły w sobie burzliwy koniec XVIII-ego wieku, uwieńczone frygijską czapką Rewolucji Francuskiej. Jego twórczość powieściowa mieści się już w XIX wieku — epoce wojen napoleońskich i ostrej walki klasowej w W. Brytanii. Pierwszą powieść historyczną Walter Scotta — rodzący, którego on sam był twórcą — „Waverley” ukazuje się w r. 1814. „Rob Roy” nosi datę 1818. Te 4 lata należą do okresu ostrego kryzysu ekonomicznego w Anglii. Są latami bezrobocia, strajków, niszczenia maszyn, rozruchów chłopskich i robotniczych, okrutnych represji burżuazji i rządu brytyjskiego. Z jednej strony klęska feudalizmu we Francji, z drugiej pierwsze bunt robotnicze w Anglii — oto symbole dwu epok, które mieszczą się w skomplikowanym, bogatym, pełnym głębiokich sprzeczności obrazie życia i twórczości Waltera Scotta. Ten twórca powieści historycznej jest malarzem przełomu dwóch formacji: feudalnej i kapitalistycznej, opiewa zgon epoki, jej upadek.

Scott, arystokrata szkocki, torys, pełen głębokiego sentymentu dla tradycji jacobickich, był zarazem lojalnym obywatel W. Brytanii, złoennikiem jej wigowskiego rządu, całkowitym afirmatorem układu kapitalistycznego. Stąd ów rozkład sił powieściowych, grupujący w obozie szlachetnych i wspaniałych — zarówno bohaterów Anglików jak i Szkotów, stąd Anglię wchodzą w głębsze związki z historycznymi wypadkami w Szkocji, stąd każda niemal powieść kończy się podaniem sobie dłoni przez dwie narodowości, przez dwa ustroje. Edward Waverley, Frank Osbaldistone, Darsie Latimer to młode pokolenie reprezentujące pośiew nowego na gruzach przeszłości. Moment biograficzny jest zarazem odbiciem historycznego układu. 18-wieczna powieść Waltera Scotta notuje początek tego procesu, który w XIX wieku przybiera na sile. Włączenie się Szkocji w organizm kapitalizmu angielskiego utrwalone zostało w realistycznym układzie metafory powieściowej. Realizm historyczny Waltera Scotta jest zarazem przeniesieniem konfliktów społecznej masy epoki.

Tradycyjne historie literatury przekazują nam Waltera Scotta w barwie czarno-reakcyjnej, jako człowieka — zdecydowanie wstecz, jako pisarza — godnego kontynuatora reakcyjnej powieści grozy, irracjonalnej, fantastycznej, odwróconej plecami do świata. Wszystkie źródła historyczno-literackie dodają ponadto, iż Sir Walter Scott był żądnym antyjakobinem, nienawidził rewolucji francuskiej i napisał paszkwilantki traktat o Napoleonie, który był dla niego czymś w rodzaju czerwonego szendziaru. Był to nie tylko strach przed modą, konkurencją burżuazji, który pchnął kapitalistyczną już od wieku przeszło Anglię do europejskiej wojny z republiką francuską. Była to o wiele głębsza trwoga przed rodzimym, szkockim jakobinizmem, który w latach 90-tych, gdy Scott miał 22 lata rozwinął się przerażająco szybko. Ogólnobrytyjska fala rozruchów i idących za nimi krwawych akcji rządu, w Szkocji reprezentowana była także już i przez robotników. Walter Scott, reprezentant górnych warstw posiadających W. Brytanii, bał się zatem i nienawidził konfliktów społecznych, dostrzeganych w współczesnej mu rzeczywistości. Nasuwa się więc przypuszczenie, poparte zresztą analizą jego twórczości, iż pisarz ucieka w przeszłość, szukając w niej antidotum na choroby społeczne, szukając ideału, który by mógł przeciwstawić istniejącemu układowi. Pamiętamy przy tym, iż układ ten nie podobał mu się nie dlatego, iż był kapitalistyczny, ale dlatego, że rozdzielił silniejszą niż kiedykolwiek walkę klasową. Ideałem tym jest dla Scotta patriarchalno-feudalny układ stosunków społecznych i on to wykrzyknął czasem i fałszuje

proponuje przedstawianych przez siebie wypadków. Wróć zresztą do tego później. Trzeba jednak od razu zastrzec się, iż ten pozytywny program Waltera Scotta nie jest najistotniejszą treścią jego twórczości i ustępuje na dalszy plan wobec zasadniczych wartości jego historycznej powieści. Jest bowiem drugi nurt w utworach Waltera Scotta, znacznie potężniejszy, nurt realistyczny, postępowy, decydujący o prawdziwości oddzwierciedlenia materiału historycznego. Stąd w obrębie tego samego nieraz dzieła ścierają się głębokie sprzeczności, o których mówiłam na początku, sprzeczności, powodujące tak odmiennie odczytanie Scotta przez burżuazję i literaturę oraz wiersz i przez marksistowską krytykę, powodujące także tak różne rodzaje percepcji tych utworów u poszczególnych romantyków europejskich. Z tradycji walter-scottowskiej czerpać będzie przecież zarówno Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” jak i Bernatowicz w „Pojacie”. Ale u tego pierwszego będzie to tradycja realistycznego nurtu walter-scottowskiego, natomiast autorzy reakcyjnej powieści polskiej wczesnego romantyzmu przyswoją sobie ze skwapliwością te wsteczne, arealistyczne pierwiastki twórczości wielkiego pisarza.

Walka nurtu realistycznego ze skrzyżnieniami, wypływającymi z postawy klasowej, da się wysledzić na każdym niemal przykładzie z twórczości Waltera Scotta. Pozostaje to w ścisłym związku ze sprzecznością między znanymi nam faktami i nienawidzi do rewolucji francuskiej, a niewątpliwym wpływem, jaki wywarła ona na pisarza. Ona, jest w pewnym źródłem tego zrozumienia roli jednostki w historii, tego realistycznego ustawienia i proporcji między działaniem jednostki i mas, owego uwikłania człowieka w historyczne konflikty jego czasu. Łączy się z tym zjawisko deheroizacji bohatera, uczynienia go zwykłym człowiekiem, który wyłania się ze zmiernych epoki ma inne zadania, inny typ działania, niż dotychczas.

Rewolucja francuska zrodziła burżuazjny nacjonalizm, zarówno we własnym kraju jak i w tych, które okupował Napoleon. Strach przed rewolucją był także skutecznym bodźcem do ukształtowania się takiego nacjonalizmu. Szukano wtedy w solidaryzmie narodowym ratunku przed ideologią, która zaostrzała rodzime konflikty klasowe. Było to także pogotowie przeciw konkurencji ekonomicznej drugiej burżuazji. Wydawałoby się, że tutaj szukać należy genezy patriotyzmu szkockiego u Waltera Scotta. Jednakże, gdyby w jego utworach nie znalazło się nic innego — można by mówić najwyżej o nacjonalizmie. Tymczasem u Waltera Scotta jest rzetelny patriotyzm. Pisarz odkrywa go, śledząc okiem realisty historycznego przeszłość. Tam znajduje patriotyzm nie wśród rozgrywek baronów szkockich z angielskimi o władzę, ale „w walce klanów (góralskich) — przyp. mój — o zachowanie własnej, plemienniej organizacji oraz kultury, walce tożsamości przeciw burżuazji z nizin i kulturze angielskiej”. (Morton) — Dzieje ludu angielskiego).

Dwie z licznych powieści Waltera Scotta, poświęconych 18-wiecznej historii Szkocji: „Waverley” i „Rob Roy” rywalizują z podręcznikami historii w przedstawieniu wypadków związanych z powstaniami, jakobitów szkockich. Znajdziemy tu realistyczne rozłożenie sił klasowych, biorących udział w tych wydarzeniach i prawdziwy obraz ich stosunku do tych wydarzeń. Trzeba powiedzieć od razu, że w „Rob Royu”, w porównaniu do „Waverleya” sprawy te nabierają ostrości, wyrazistości. Pisarz wydobyla na jaw szczegóły bardziej typowe, bardziej ważne. Dotyczy to szczególnie środowiska góralskiego. W obu tych powieściach mamy inny obraz klanów góralskich, a raczej w każdej z tych książek pisarz inne strony oświetlił.

Realizm historycznej powieści Waltera Scotta kryje się nie w mniej lub więcej dokładnym przedstawianiu wypadków powstania jakobickiego. Polega on na ukazaniu typowego układu sił społecznych w owym czasie, na utrwaleniu w artystycznym skrócie procesów społeczno-ekonomicznych tego czasu i ich wpływu na los ludzkości. „Waverley” jest pierwszym etapem for-

mowania realizmu historycznego. „Rob Roy” — najlepsza chyba książka Waltera Scotta daje już imponującą jego egzemplifikację.

„Rob Roy” jest szczytem realizmu Waltera Scotta. Z pewnością można jeszcze w kilku innych książkach Waltera Scotta, pisanych nawet w szybkim okresie jego twórczości, znaleźć elementy realistycznego demaskatorstwa, często — nawet bardziej mocnego niż w „Rob Royu”. Ale w tej książce realizm wyraża się nie w takich, czy innych, z osobną wziętą elementach powieści. Tkwi on w całej konstrukcji układów sytuacyjnych powieści, będących odbiciem praw historycznych. Cztery lata, jakie dzieła „Waverleya” od „Rob Roya” stanowi szczyt twórczości Scotta. Od roku 1818 zaczyna on ulegać powolnemu, ale stałemu procesowi uwstecznienia.

Powstania jakobickie w Szkocji to z jednej strony beznadziejna próba odzyskania władzy przez arystokrację szkocką, z drugiej — wynik znacznie głębszych przyczyn społeczno-ekonomicznych, które powodują wciągnięcie do buntów jakobickich szerszych warstw społeczeństwa. W powstaniu biorą przecież udział biedni góralskie szkoccy. Tu jest punkt, kryjący całą wielkość realizmu Scotta. Potrafił on pokazać, jak wpłynął rodzący się w Szkocji kapitalizm na sytuację ludu. Góralskie zrywają się do buntu wskutek tego, że nowy układ ekonomiczny sprowadza na nich niesiechaną nędzę. Katastrofa ekonomiczna góralskiej szkockiej zamyka także przed nimi perspektywę życiową. Świadczy o tym doskonale rozmowa radnego Jarvie z Rob Royem na temat przyszłości jego synów. W „Rob Royu” pokazał Scott jedną z owych historycznych tragedii ludu, który zrywał się do rewolucji w interesie klas uciskanych.

Rob Roy jest przykładem ludowego bohatera. Jak mówi autor, „pochodzi z rodu, który przez długie lata stawiał się i opierał królów i parlamentowi i kościołowi także”. Osobiste cechy Roba Roya składają się na typowy obraz szlachetnego i bohaterskiego zbrojnika, dobrego dla biedaków, walczącego za lud. Jego nienawiść dla wszelkiego rodzaju przedziwności, urzędników i celników jest nienawiścią do nowego układu kapitalistycznego, który przynosił zagładę góralom szkockim.

Demaskatorstwo realisty dochodzi do głosu w każdej niemal powieści Waltera Scotta, nawet w powieściach średniowieczu, czy historii kontynentu (jak np. „Talisman” czy „Kwentin Durward”). Co prawda nie łącząca historyczne konflikty z procesami zachodzącymi we współczesności, tak mocna przy XVIII-wiecznej tematyce jego utworów, tu staje się coraz słabsza, wzmacnia się fałszywa idealizacja patriarchalnego stosunku pana do sługi (jak np. w „Ivanhoe”), punkt ciężkości przenosi się na dzieje królów i wielkich panów. Są u Waltera Scotta powieści (jak np. „Kenilworth”) gdzie pojawia się tak charakterystyczne dla reakcyjnego romantyzmu działanie sił nadprzyrodzonych, irracjonalna motywacja zdarzeń powieściowych, gdzie pisarz całkowicie rezygnuje z ukazania sensownych zasad rządzących rzeczywistością. Ale tych jest niewiele. Należą do późniejszych lat jego twórczości. I w tym okresie zresztą znajdują się utwory, w których podziwiać możemy szeroki krag obserwacji i zdumiewającą znajomość układu sił społecznych w owych epokach. Nawet jedna z najsłabszych książek „Talisman” ujawnia istotną podszewkę wojen krzyżowych, sieć zaskulanych intryg, sprowadzających się do walki o prymat tego czy innego feudału. W „Ivanhoe” znajduje się poza tym idealizację wolnych kmiści, zielonych łuczników Robin Hooda, piękny obraz szlachetności przedstawicieli ludu-niewolników Wamby i Gúrtha, obraz skrzyżniony jednak przez akcenty solidarystycznego patriarchalizmu. Dyskryminacja Żydów, tak istotna dla owych czasów, wywołana określonymi procesami społeczno-ekonomicznymi, opatrzona jest w „Ivanhoe” artystyczną negacją. „Kwentin Durward” powieść z czasów Ludwika XI, ukazuje z wyjątkową ostrością okrucieństwo ustroju feudalnego, rozpasaną samowolę wasali, ucisk ludu, nietolerancję rasową i religijną.

W każdej z tych powieści realista staczał mniej lub więcej zwycięską walkę z idealizującym feudalną przeszłość reakcyjnym romantyzmem. „Rob Roy” zostanie najpiękniejszym tego zwycięstwa wyrazem.

Hanna Kirchner

*) Jakobici byli to zwolennicy odrębnej dynastii szkockiej, którzy chcieli wyprawić na tron potomków Jakuba I Stuarta. Jakobici wywołali dwa wielkie powstania w 1715 i 1745 r. To ostatnie było ich ostateczną klęską.

**) Walter Scott, Rob Roy, Powieść historyczna z XVIII wieku, tłum. Teresa Swiderska, wyd. 3, „Książka i Wiedza”, Warszawa, 1949.

E. LOOGHE

NASTROJE BRYTYJSKIEGO MIESZCZUCHA

Nie tylko Niemcy dawali wyraz swym niepohamowanym ambicjom, każąc grać fortissimo „Deutschland über alles” — każde knajpiarskie orkiestrze. Mieszkańcy Anglii mieli coś podobnego — w epoce wiktoriańskiej wielkim powodzeniem cieszył się utwór Rule, Britannia — rządz, Brytanio. I to nie tylko na morzach: zawładnij — dodawano cicho — światem, a przynajmniej handlem całego świata.

Krnąbna angielska kolonia za Atlantyką, wychuchana starannie — ale traktowana z lekkim uśmiechem wzgardy, który stary kapitalista ma zawsze na wargach wobec dorobkiewicza — pokazała dziś pazury. Pieśń Rule Britannia stała się tylko echem przeszłości.

Gdy rząd angielski rzekł się „dobrodziejstw” planu Marshalla, kierował się oczywiście złudzeniem, że potrafi się uniezależnić od Ameryki i zachować jakieś takie strępy niepodległości. Dziś złudzenie to prysło — przyjęcie przez USA franków — w niektórych krajach — Kistowskiej Hsżpanii do koła sprzymierzeńców Waszyngtonu stało się dla Anglików uderzeniem maczugą w łeb.

Przymierze z Hiszpanią zawarte zostało ponad głowami wszystkich europejskich partnerów paktu atlantyckiego. Dziś gdy program zbrojeniowy, naładowany przez państwa zachodnio-europejskie przyjęty, zaciął im pięć na szyi — Waszyngton zdecydował, że może się nie kłepować. Wprowadził gen. Franco do koła swych służalczych polepników, wiedząc zresztą dobrze, że ta decyzja wywoła sprzeciw. Fakt, że się z tym sprzeciwiamy nie licząc z Oceanem, dowodzi, że jaka jest właściwa ocena sytuacji: W. Brytania, Francja i Włochy uważa-

żone są za kraje całkowicie uależnione od Waszyngtonu. Na wdowni jest Ameryka, ów polityczny Jowisz, koło którego kręca się wystygłe, bezbarwne księżycy. I kręcić się muszą, bo trafiały w orbitę ciężenia, z którego wyłamać się już nie mogą. Oczywiście, są to księżycy burżuazyjne. I oczywiście krążyć będą do czasu.

Przyjęcie gen. Franco do orkiestry atlantyckiej uważane jest, zwłaszcza w wielu kołach nawet angielskiego mieszczaństwa, za ośbelę i zapowiedź ostatecznego końca niepodległości.

Więże się z tym wszystkim szczegółna bezczelność, na którą właśnie pozwolił sobie gen. Franco, powołując nowy „liberalny” rząd. Mianował na ministra wojny gen. Munoza Grandes, b. dowódcę „błękitnej dywizji” hiszpańskiej, wysłanej na front rosyjski. Drugi generał, należący do tej dywizji, Castiella, został ministrem... oświaty. Ową Castiellę specjalnie jest Anglikom miły, jako prezes „stowarzyszenia zwolenników” powrotu Gibraltaru do Hiszpanii! W niektórych pismach francuskich i angielskich pojawiły się fotografie tych generałów w mundurach, bardzo przypominających niemieckie, z żelaznymi krzyżami rycerskimi pod kołnierzami. Obaj oni byli dekorowani przez „ukochanego führera”. Rozdrażnia to zarówno spauperyzowanego mieszczaństwa, jak i tę część mieszczaństwa, w której uderza ciężka sytuacja gospodarcza kraju.

W świetle faktów podobnych lepiej zdają sobie sprawę, że „spółnica brytyjska” nie tylko nie jest zadowolona, ale trzyma się jedynie na wątych nitkach, Pergaminy, kodeksy, umowy, tradycja dynastyczna — oto i wszystko. Monarchiści angielscy rozdzierają szaty — po-

stawia bowiem pytanie, czy Jerzy VI nie będzie czasem ostatnim panującym na tronie zjednoczonego królestwa — czy państwo to nie skurczy się gwałtownie i nie rozyspie — czy w ogóle córka Jerzego, Elżbieta, będzie miała co dziedziczyć, czy nie powstanie jakaś niewielka wyspiarska republika na miejscu dotychczasowego mocarstwa?

Rzeczy te martwią przeciętnego drobnego bourgeois angielskiego, lubującego się w tradycji — i niepokoją, gdyż sytuacja Anglii bez kolonii, protektoratów i państw „brytyjskiej wspólnoty”, wydaje się im co najmniej tragiczna. Ten przeludniony kraj o 40 milionach mieszkańców, sprowadzający 1/3 niezbędnej żywności, nie byłby przecież sądzą, w stanie dać sobie radę z olbrzymim grzybem, którym jest 8-milionowy Londyn. Chyba, że Anglia, a to nastąpi niewątpliwie, pójdzie po drodze wskazanej jej przez Partię Komunistyczną.

Fakt zaproszenia gen. Franco do orkiestry rozpatrywany jest w Anglii jeszcze pod innym kątem widzenia. Wiadomo, że jeśli ktoś jeszcze udawał, że liczy się z dyplomacją zachodnio-europejską w Ameryce, to tym człowiekiem usiłował być kierownik dyplomacji USA, Acheson. A tymczasem powzięto decyzję przeciwną jego zdaniu, a powołano żądaniom generalnego sztabu.

Pieśń Rule, Britannia stanowiąc się przesyła. Brzmii nowa pieśń — zew walki brytyjskiego proletariatu — widzącego jasno drogę anglijskiej niepodległości i zachowania wózków przyjeźni z ludami kolonii i dominów dziś uciskanych przez imperializm. Ta pieśń brzmi przez doniośle.

E. Looghe

LIST Z WŁOCH

MALARZE WŚRÓD LUDU

Pomówmy o wystawie paryskiej, zorganizowanej przez włoską reakcję i przyjrzyjmy się temu, czego nie pokazali jej organizatorzy przypuszczając, że zniszcza przez to wysiłek setki artystów włoskich.

Krótko mówiąc, świadomo zapominano powiedzieć na tej wystawie, że około 100 włoskich malarzy i rzeźbiarzy pracuje w tej chwili według nowej zupełnie metody. Artysty ci zerwali mniej lub więcej definitywnie z abstrakcją malarstwa salonowego, porzucili różne „marbry natury” i weszli w „krąg natury żywej, żywej i tężącej, jakim ono jest. Opuścili pracownię, w której zamknięta burżuazja kultura, każe im pracować dla siebie, nad „pięknymi formami, pozbawionymi jakiegokolwiek niebezpieczeństwa dla posiadacza znaczenia, i wyszli na ulicę, w pola, do kopalni, do fabryk, gdzie spotkali prawdziwych mężczyzn i kobiety, tworzących nową historię, potrzebujących nowej kultury.

Wyliczanie wszystkich faktów zabierałoby zbyt wiele czasu, o niektórych jednakże warto wspomnieć ze względu na ich znaczenie i aktualność.

Grupa malarzy i rzeźbiarzy, zaproszona przez kilka spółdzielni rolniczych w Romani, spędziła dwa tygodnie na wsi, towarzysząc chłopom stale, z ołówkiem i papierem w ręku, w ich pracy, ich troskach, a także w ich rozrywkach i odpoczynku po trudach dnia. Było to dla nich rewelacją i źródłem prawdziwego natchnienia, które znalazło swój wyraz w wystawie, urządzonej nie w wyk-

tych galeriach sztuki w Rzymie, czy Mediolanie, lecz — co za skandal dla subtelnych gustów burżuazji — w Domu Ludowym w Vignola, którego ściany malarz Borgonzoni z Bolonii, ozdobił ostatnio serią fresków, przedstawiających pracę człowieka.

Trudno bowiem nie traktować, jak rewelacji, jak odkrycia przebogatego materiału dla uczucie, humanisty — widzącego jasno twórczość malarstwa — tego dokładnego wgrzyzienia się, pełnego odczucia życia włoskich chłopów, włoskich „cafoni”, którzy wbrew rządowi, wbrew terrorowi amerykańskiemu — faszystowskiemu, przełamując tradycję i opory, wypędzając obszarników — zajęli ziemię orną dla kolektywnej, wspólnej własności i gospodarki.

Caty świat pamięta bohaterską walkę chłopów włoskich o ziemię. Walkę w dużej mierze zwycięską. Walka ta trwa. Zarówno z urogami — obszarnikami i rządem, jak i z naturą — o wyższe, lepsze plony, o lepsze jutro.

Ta walka staje się natchnieniem postępowych malarzy włoskich.

Nie jest to fakt ośobodniony. Prawie jednocześnie grupa innych, wybitnych malarzy z catych Włoch, wśród których znajdował się Renato Guttuso, młody laureat Międzynarodowej Nagrody Pokoju, zaproszona została na dwutygodniowy pobyt do Lomellina przez kobiety, pracujące przy uprawie ryżu, które chciały, aby ich praca znalazła swój artystyczny wyraz w dziełach malarzy. Ale i o tym, tak jak o wielu jeszcze innych faktach, krytyka bur-

żuazjna nie napisała wcale, lub raczej o nich wspomnieć w kilku słowach.

Jeśli nawet krytyka oficjalna przypomni sobie o kimś, czyni to przez snobizm, ostrożnie chwalec na przykład wspaniałych rybaków Guttuso, lub niektóre prace Omiccioli czy Vespigniego. Na wszelki wypadek, „zapominano” jednak umieścić te nazwiska w katalogu wystawy paryskiej, w którym nie figuruje również Mario Majaf. Trudno jest po prostu — to wierzyć, gdyż Majaf jest jednym z największych artystów włoskich w ogóle, lecz nie cieszy się popularnością burżuazji, gdyż widzi i maluje te strony życia, które burżuazja wolałaby ukryć, jak ów stynny strus.

Alle tak, jak strus dla nikogo nie staje się niewidzialny przez to, że schował głowę w piasek, tak samo rząd monopolów, wojny i serwilizmu nie zdoła ukryć przed oczyma ludu swych błędów i win, których konsekwencją jest wstępująca nędza, głód i przygotowania do wojny, dokonywane na rozkaz władców z Atlantyku.

Robotnicy włoscy stosują metodę wprost przeciwną — jak najgłośniejszą potępią rzeczywistość i przy pomocy zjednoczonej, masowej akcji, dążą do jej przekształcenia. W walce tej solidaryzują się z nimi cały naród i jest rzeczą naturalną, że najlepszy artysta także się o ich boku, mimo, że tak bardzo nie podoba się to rządowi de Gasperiego i jego pacholkom.

A. Barsilio.

ADAM SKIBA

CZEGO BRAK AMERYCE?

USA głoszą o sobie, że mają wszystko w bród i niczego zniknąć nie potrzebują. Było to nawet kiedyś jedyną „dumny” przesłanką sławetnego izolacjonizmu. Tymczasem podstawowym argumentem militarystów i imperialistów amerykańskich obecnie wysuwany wobec opinii publicznej Stanów jest „ubóstwo”. Ameryki, jeśli chodzi o szereg artykułów, które wobec tego trzeba zdobywać drogą „rozpowszechniania demokracji”. Jak rzecz ta wygląda naprawdę?

W okresie przed imperialistycznym amerykański przemysł USA, skoncentrowany głównie na wschodzie kraju, zajęty był niemal bez reszty zdobywaniem rynku wewnętrznego oraz wewnętrznymi źródłami kopalni itd. Dziś imperialistyczna gospodarka Stanów istnieje nie może bez współdziałania z gospodarką szereg innych krajów. „Współdziałanie” to polega na zwykłym rabunku, dokonywanym przy pomocy armii i marynarki wojennej, „pozyjskujących” dla „wielkiej demokracji” wątpliwie sympatyczne i niewątpliwie świadczące gospodarce. Jak jednak wygląda to zapotrębowanie obecnie? Śięgniemy do źródeł amerykańskich. Oto co stwierdza główny organ wielkiej finansjery — „U. S. News and World Report”:

Spór o surowce, bez których żaden wielki przemysł istnieć nie może, Stany Zjedn. nie mają wcale karczunku (dostarczanego z Malajów, Indonezji i Syjamu), chromu (sprowadzanego z Turcji, Filipin i Afryki

Połudn.), cyny (Malaje, Boliwia, Indie), manganu (Złote Wybrzeże, Indonezja, Afryka Połudn.) oraz kobaltu (Kongo Belgijskie, Kanada, Rodezja). USA sprowadzają ok. 72% bauxytu z Gujany Holenderskiej, Gujany Brytyjskiej i Indonezji, ok. 65% tynku z Boliwii i Syjamu, blisko 50% ołowiu z Meksyku, Kanady i Australii, ponad 40% miedzi z Rodezji, Chile i Kanady oraz z gór 30% cynku z Meksyku, Peru i Kanady.

Zastosowanie karczunku jest powszechnie znane, chrom jest niezbędny w przemyśle stalowym i chemicznym, cyna — do wyrobu puszek i dla szeregu stopów, mangan jest konieczny w produkcji stali. Kolbat — w produkcji aluminium, tungsten — dla wyrobu narzędzi precyzyjnych, a zwłaszcza w przemyśle wojennym, cele zużycia miedzi, ołowiu i cynku są również ogólnie wiadome.

Na domiar złego — położenie USA pogarsza się z dniem każdym nawet pod względem tych surowców, które posiadają u siebie, gdyż zużycie wyprzedza istniejące zapasy w takim tempie, że nie starczyłoby ich w czasie większej wojny. Albowiem surowce, o których mówimy, są wprawdzie niezbędne w każdym wielkim przemyśle, jednak zapotrzebowanie na nie jest szczególnie wielkie w przemyśle wojennym. Jest to jeszcze jeden z tragicznych paradoksów, błędne koło, w które wpisała Stany Zjednoczone polityka podżegaczy wojennych.

US News wypowiadać wprawdzie poglądy, że „perspektywa grożącej

nam inflacji znikłaby i konjunktura zmieniłaby się radykalnie na korzyść w razie wybuchu wojny na większą skalę, w ogóle zaś zamowienia wojenne oznaczają wielkie zyski” — równocześnie jednak biją na alarm o wyczerpaniu się surowców i domagają się zdobycia ich „za wszelką cenę, na wszelkich warunkach...”

Nie trzeba dodawać, że organ wielkiej finansjery amerykańskiej, pisząc o „wszelkich warunkach” nie ma oczywiście na myśli warunków niekorzystnych dla siebie. Warunki mogą być niekorzystne dla innych, owych „tybucików”, zamieszkujących wszystkie kraje poza USA, a których opatrność sama — zdaniem polityków amerykańskich — powierzyła we władanie USA, albowiem, jak mówi senator Beveridge, „ze wszystkich nas Bóg wybrał naród amerykański, którego ostatecznym zadaniem jest odrodzenie świata”.

Pod „odrośnięciem świata” — imperialiści rozumieją „zawładnięcie światem”. Do tego dążą, nie mając u siebie potrzebnych surowców, które nadają się właśnie do wytwarzania narzędzi ucisku i terroru, wojny i śmierci. „Odrodź świat” opowiadując go — a opowiadając kraje i ludy — dzięki uprzedniemu zawładnięciu ich dobrami surowcowymi — oto naga prawda imperializmu.

Można opomować zło surowców, można zagarnąć kraje — ale ludów ujarzmić się nie da. I to jest pięta achillesowa imperializmu.

Adam Skiba

JAN JELONEK

Moja córka Marynia i księga „Wyzwolenie”



Moja Marynia z młodszymi braciškami i matką. Mam jeszcze nadto parę przyszytych maturzystów

— Tatusiu, jaką ty książkę czytasz? Takie ładne obrazki.

Moja córka, Marynia zaczęła od 1 września chodzić do szkoły.

— Widzisz, Maryniu, ta księga opisuje ten czas, kiedy ty przysiałaś na świat. Nazywa się „WYZWOLENIE”, a to dlatego, że wtedy kraj nasz został wyzwolony z niewoli niemieckiej. Od czerwca 1944 roku do maja 1945 roku trwały na naszych ziemiach wielkie boje. Prowadzili je żołnierze radzieccy, o tacy, jak ich tu widzisz na tym kolorowym obrazku. Razem z nami bili się z najzłotocą i polscy żołnierze, o ci w rogatywkach. Ty urodziłaś się w dniu 7 listopada 1944 roku, a w styczniu 1945 roku, były w naszej wiosce i okolicy walki o wyzwolenie. O tych walkach pisze twój tata na stronie 203 do 206. Jak będziesz umiała czytać, to sobie to sama przeczytasz. Książkę tę zapisało 118 autorów, którzy przeważnie nie są pisarzami, ale napisali i wydrukowali tu swe prace aby ich dzieci, jak ty Maryniu, mogły sobie w przyszłości uprzytomnić ten przełomowy i wzniosły chwile.

— Tatusiu, a bardzo płakałam, jak strzelali?

— Nie, córeczko, ty w ogóle bardzo mało płakałaś. Kiedy sześciolatki były w piwnicy, to ty albo spałaś w poduszce, albo ci chutko spoglądałaś na mamusię. Ryścio i Zosia też nie płakały, oni rozmawiali z radzieckimi żołnierzami. Ryścio koniecznie chciał strzelać z pepeesy do urogoń naszej ojczyzny. Kiedy nastąpił gwałtowny ostrzał zawodnia, ciebie wówczas pewien żołnierz przenosił z mieszkanka do piwnicy, a tak cię niosł — kruszyńkę — ostrożnie, że Mamusia, która tasczyła poduszki, śmiała się, choć bardzo wtedy strzelano! Jak byłem na uści w sprawie koni dla kuchni żołnierskiej, bo im jednego konia Niemcy ranili a drugiego zabili. Przyprowadziłem wtedy konie od Kawonia i Szymty.

— Tatusiu, a czy w tej książce piszą też o takich, jak ja, dziewczynkach?

— Piszą i nawet te dziewczynki, które w tym czasie były małe, jak ty teraz. To co zapamiętały, teraz opisywały. O posłuchaj, co pisze taka dziewczynka na stronie 31. Nazywa się Teresa Królówna. Teraz jest już studentką, ale wówczas miała 12 lat. Piszcie ona, że była sierotą, to znaczy nie miała ani tatusia ani mamusi...

— ...To kto jej dawał jeść?

— Młota opiekunów, którzy ją żywiłi i odziewali, a ona u nich pracowała. W tym dniu, kiedy u nich zaczęła się bitwa i armaty strzelały, ona przestraszona schroniła się w pewnym domku na skraju uści. Ale wkrótce dym zaczął się palić. Mała Teresa wybiegła z niego i zemdlała. Kiedy się obudziła na około nie było żywej duszy, tylko mały kotek. Wzięła tego kotka, który też był sierotą i zaczęła płakać. Wtedy nagle zjawili się żołnierze radzieccy, posłuchaj jak ona to opisuje:

— „Oczy żołnierza uśmiechały się życzliwie. Wreszcie przemówili:

— „Dziękuję... A, dziewczeczko... Czo to zdieś dziedziasz? (To znaczy, on się pyta, dziewczynko, dziewczynko, co ty tu robisz?).

A widząc moje try, dodał:

— Nieszła plakat, dziewczeczko, wojna...

Potem wyjął z kieszeni kawalek czekolady oraz parę sucharów i usunął mi to z ręki. Odgarnął mi włosy z czoła, pogłaskał kotka i znów się uśmiechnął. Wtedy już nie wytrzymałam i przytuliłam się do niego, (o tak jak ty teraz przytulasz się do mnie). Przysgarpnął mnie do siebie mocno, pogłaskał i rzekł: „Nu, pójdiom”.

— Tatusiu, a jak on się nazywał?

— Ba, kiedy nawet i Tereska nie wiedziała, bo sama pisze:

„Taki był dobry i miły. A ja... nawet nie wiem jak się nazywał...”

— Widzisz córeczko, tutaj dużo takich opowiadań jest wydrukowanych, a wszystkie one mówią o żołnierzach radzieckich, którzy walczyli, abyśmy teraz byli wolni. Abyś ty mogła się uczyć a nie zbierać szmaty i kości, jak to robili Ryścio i Zosia w czasie okupacji niemieckiej.

— Ja wiem, że stacją Porąbka jest na cmentarzu taki duży grobowiec. Pani nam mówiła, że my tam pójdziemy i będziemy go ubierać kwiatami.

— Bardzo dobrze pani mówiła, bo właśnie takie dzieci, co urodziły się w dniach wyzwolenia, mają największy dług wobec poległych żołnierzy radzieckich. Za cenę ich śmierci, one żyją i mogą się spokojnie uczyć po polsku i w polskiej szkole.

Marynia słuchała z oczkami rozgorzałymi, aż w pewnej chwili poprawiła sobie włosy nad czołem i powiedziała:

— Tatusiu, a jak my byli w pierwszym dzień w kinie, to też tam było o takim panu, co to walczył o wolność. Kto to był, tatusiu?

— To był film o Dzierżyńskim, Polaku, który walczył wtedy jeszcze, kiedy Polski nie było. Walczył i później też. Ale to było dawno! Kiedy ja jeszcze byłem młodym chłopakiem a twoja mamusia małą dziewczynką. Dzierżyński walczył o wolność nie tylko dzieci polskich i rosyjskich, ale o wolność ludów i narodów na całym świecie.

— Tatusiu, pokaż mi obrazki z tej książki.

— No, zobacz. Tu malarz Szancer pokazuje czołg radziecki z wielką czerwona chorągwią. A tu znów Fijałkowska namalowała, jak dzieci cieszą się, że już nie ma okupantów. Patrz, jak jedna dziewczynka podaje kwiaty czołgistom. A tu znów widzisz, jak Henisz przedstawia powitanie żołnierzy radzieckich przez górą. W zimie to było, więc wszyscy górale grubo ubrani. A tu znów, o widzisz, żołnierze radzieccy pędzą przez zamrażniętą Wisłę pod Krakowem za uciekającymi Niemcami.

— A kto to malował?

— To malował Zcharewicz. A tu inny obraz Henisza. Chłopaki idą na komisie, bo chcą aby ich przyjęto do wojska. Oni też z wojskiem polskim chcą być Niemców. A na tym obrazku przedstawia Brzeski bitwę w Gdańsku.

— To tam był nasz wujek Stasiak — prawda?

— Ano, on koło Gdańska zamieszkał, ale już po wojnie. A tu, widzisz na obrazku Kościelnika, jak wzięli obozie w czasie wyzwolenia ich przez radzieckich żołnierzy. I sami się ścisną i z żołnierzami. A tutaj znów, wojna nad Odrą. Namalował ją malarz Bylina. Przedstawia tutaj, jak nasze wojsko bije się za wolną Polskę.

— Wiesz, tatusiu, ja chciałabym tak ładnie malować. Namalowałabym wtedy jak dzieci idą do szkoły a starsi do kopalni, jak na naszych zalanych łakach będzie spółdzielnia i dużo, dużo krówek i jak daleko widać komy, a blisko na polach traktory.

— Ano, ucz się, Maryniu, bo do malowania masz trochę zdolności, tak jak i twoja mamusia i ciocia Hele. Ucz się i pamiętaj, że urodziłaś się w czasie, kiedy rozdziła się Polska, w czasie, kiedy ginęły tysiące młodych chłopaków z całej Polski i Wielkiego Związku Radzieckiego. Taki pamiętny okres wymaga od wszystkich dzieci, aby się dobrze uczyły dla dobra Polski, naszego Planu 6-letniego.

— Tatusiu, ja już umiem piosenkę o sześciolatnim Wielkim Planie. Uczyła nas tej piosenki pani w przedszkolu. Tatusiu, będę się uczyła aby zostać przedownikiem, jak Ryścio i Zosia i jak oni dostać maturę. Tylko, żebyś nam, tatusiu, nie chorował, bo ja nie chcę być sierotką, jak ta Tereska.

— Nie bój się Maryniu. Teraz są doktorzy, szpitale, to nie dadzą długo chorować. Tylko ty się ucz dla swego dobra i ojczyzny.

Porąbka, dn. 16.IX.1951 r.

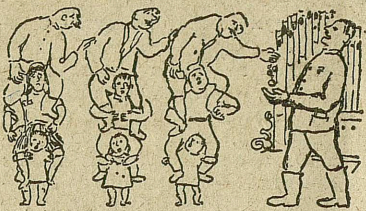
Jan Jelonek.

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego piśma że począwszy od m-ca września br. urzędy pocztowe oraz listonosze więcej j miejsc przyjmować będą wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Gazetka gminna

Organista z głową

Uradzili ojcowie jeszcze zeszłego roku, że w organistowie będzie przedszkole. Organistowie „poszli na rękę”, wypłacając mu wysokie komorne. Pan nauczyciel doszedł po



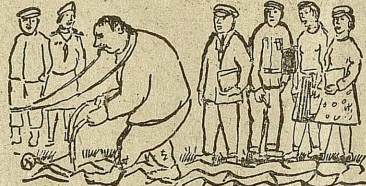
jakimś czasie do przekonania, że przydałaby mu się jeszcze jedna sala szkolna. Zrobiono więc przepięknie i oto przez szereg mieszkańcy dusili się w małych pokoiłkach małe i większe dzieci z B.ślej. Z kolei wkroczyła na arenę kol. Kurzawska z żądaniem lokalu na świetlicę. I znów rada: kto ważniejszy? Poczuć hierarchii zwyciężyło — starsi ważniejsi od młodszych. Tak więc wyrzucono przed-szkolaków, na ich miejsce przyszli ZMP-owcy. Ale też nie cieszyli się długo lokalem. (Nawiasem mówiąc w tym szczęśliwym okresie urządziła kol. Kurzawska jedne zebranie w tym roku). Wiosną pojawiła się w organistowie jeszcze jedna postać — sam przewodniczący GS-u. Potrzebny mu był lokal na biuro. Sprawa niezwykle wagi no i instytucja niebyła, ale czy ważniejsza od szkoły i ZMP? Uradzili ojcowie, że szkoła najważniejsza a GS i ZMP równe co do wagi. Skoro zaś tak, to znaczy, że biuro pomieści się w świetlicy, ta zaś w biurze, a obie w jednym pokoiłku. Kłopot z tego niemały, gdyż koło młodzieżowe uważa, że gości u siebie „kątem” — biuro GS, ta zaś utrzymuje jakoby było akurat odwrotnie.

A praca? Interesanci chłopcy o-biegają biuro przez cały prawie dzień, przeskakując dzieciom w naucz, po południu usiłują ZMP-owcy „wysnuć” urzędników z lo-kału. Zle idzie urzędowanie i nau-czanie, robota młodzieżowa leży. Jest jednak jeden człowiek bar-dzo z takiego stanu rzeczy zadowo-lony. To pan organista, który po-biera komorne za szkołę, świetlicę i biuro. Kto ma głowę urządził się świetnie i w małym pokoiłku, a kto — jak ojcowie naszej gromady — działa bez głowy, tego ma-my przedstawicieli czytelnikom naszej ga-zetki gminnej!

Oj ta oświata!

Na ostatnim zebraniu gromad-zkim w sprawie zwolki opatu na zimę dla naszej szkoły, wystąpił z wielką mową nie kto inny, jak sam bogacz Antoni Domański.

— Ja tam koni nie dam — powiada — wciąż tylko żyć i żyć, to na



to, to na owo... Ja słyszał, że zwol-ke do budżetu kładli. Chęć koni — niech płacą. Czy to chłop i to o tym ma myśleć, żeby nauczycielowi cie-pło było? I tak ta oświata tyle w naszej wsi nawyrabiała, że ciarki czeka przeczodzą...

Powiedział prawdę kulak Domański. W tegoroczne zniżki ani na le-karstwo nie znalazłbyś w Lipnicy pow. łowickiego parobków. Ciarki go przechodziły, bo wszystkie dzie-ciaki biedoty wiejskiej, które przed wojną pędziły lachą po swoim po-lu, powydziedły do szkół zdobywać wiedzę. Nie wierzyć? Ano, wyliczę wam po kolei.

Dwoje Pietrzaków — Julian i Sta-nisław oraz Stanisław Tomala kształcą się na koszt państwa w Łódzkiej Szkole Technicznej Rzeź-niarskiej. Technikami zostaną rów-nież uczniowie PSTP w Łowiczu: bracia Stanisław i Józef Majchro-wie, których matka-wdowa posiada 2 ha ziemi oraz Janusz Pietrzak, syn chłopca małorolnego, właściciela 1,5 ha gruntów ornych. Nauczycielką będzie Janina Smolarkówna, ta sa-ma, która w okresie międzywojen-nym pasła u Domańskiego tustę gaski. Jej siostra Anna kończy szko-łę Administracyjno — Handlową w Głownie. Dzieci chłopów małorol-nych Kapusty, Zakosielnego i Le-siewicza pobierają naukę w szkole średniej. Zaś utalentowana córka tryzhektarowego chłopca Jadwiga Staniszeńska przyjęta została do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. W tym roku zdał również egzamin wstępny na Uniwersytet Łódzki Franciszka Staniszeńska i Eugeniusz Lesiewicz, których przed wojną Domański przepędził ze swojego pola, „za brak szonku dla pani gospodyni”, co to rozkazywała się całować po rękach.

Gdzież więc teraz biedny bogacz Domański ma szukać taniej siły ro-boczej? Gdzież ma szukać parob-ków? I że święta ich nie znajduje, ostał się całkiem na lodzie. Oj, ta oświata, ta oświata...

P.S. A konie po opa dla szkoły i tak będzie musiał posłać. Już my go dobrze przycziniemy!

Wojciech Smula

Bronisław Chęciński

O ŁAŃCUSZKU Z ZABŁOCIA

Przyjeżdża Łańcuszek z Zabłocia do Łodzi, ażeby towaru dobrego uchodzić. Towaru dobrego, towaru takiego, który by w Zabłociu kupił od niego.

Zabrakło kretonu, wieść cichcem obiega, natychmiast z kretonem Łańcuszek podbiega. Zabrakło szewiutu, chwilowo go nie ma, a już w dobroczyńcę Łańcuszek się zmienia.

U niego jest wszystko i jedwab i plusz, któż bardziej od niego uczynny jest — któż?

Wiadomo zarobić potrzeba, bo jakże — klep zysków nie widzi na szmuglu i szabrze, zarobek jest prosty, dwa razy dwa — cztery, (człowiek się namęczy, nim życie przemierzy).

Dla bliźnich poświęcać się trzeba — no cóż, któż bardziej od niego poświęca się — któż?

Przyjeżdża Łańcuszek do Łodzi z Zabłocia, welenki, lub pończochy zakupić chce chociaż, z kolejką w kolejkę z umiżem się wiska, w Zabłociu na niego czekają ludziska —

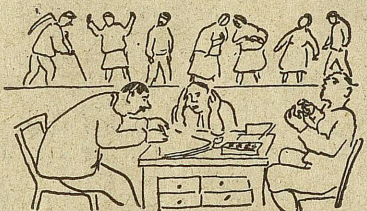
Czekają na wełnę, na jedwab, na plusz, któż prędzej od niego dostarczy im — któż?

Lecz próżno czekali w Zabłociu dnia tego na towar — Łańcuszek powrócił bez nłogo. Na szmugiel tkaniwy sprzedać mu nie enieli, poznali Łańcuszka w tekstylnej spółdzielni.

Przemierzyl Piotrkowską od placu po plac, ni łokcia na pasek nie chcieli mu dać.

A towar w Zabłociu znalazł się mimo to i do rąk klientów wdrękuje już prosto, znalazł się w Zabłociu i jedwab i plusz. Łańcuszku, handelek twój skończył się już.

Raz remanent, raz amerykanka...



To co się nam w Mroździe pod Ło-wiczem przytrafiło, to chyba coś na-prawdę wyjątkowego. Rok już go-spodarujemy wspólnie, a dopiero te-ras przy zniżkach zorientowaliśmy się, że jest u nas niedobrze. Zaczęło się od zaliczek na poczet wypra-cowanych dniówek obrachunko-wych, bo to przed zniżkami zawsze wydatków więcej. Trzeba jakieś wiadro kupić (przyszły do GS-u), a to żelazo, a to inne sprzęty do go-spodarki.

Poszedł Stanisław Szupski do Kwiatkowskiego, a ten powiada, że teraz remanent to nie można wyda-wać zaliczek. Kwiatkowski był na kursie dla kśgówych, to się chyba na tych rzeczach zna. Posłał potem Kalucka do członka zarządu Anioł-czyka, to ten mówi że bilans. Też nie można wypłacać. Idziemy wszy-scy do jednego z zarządu; ów po-

Lepiej późno niż wcale

Idzi Czarniecki przybył do naszej wsi — Zapola w Sieradzkim dwa lata temu. Jakos nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ot, sześćdziesięcio-letni chłop, lekko przygarbiony — pytał o bogacza Szczepana Kaz-mierczaka

I patrzył co wynikało z naszego niedopatrzenia? Bogacz Kazmierzczak przyjął Czarnieckiego z otwar-tymi rękami: chodź bracie w me ramiona, przy mnie będziesz miał mało roboty, a za to zarabia powy-żej nosa... A dokumenty oddaj za obraz święty, niech tam se spoczy-wają, mógłbyś czasem mi zwać — diabli wiedzą coś za jeden...

Obietnice Kazmierczaka — kupa sieczki! Pracował więc Czarniecki po czterech godzinach na dobę, jadł czarny chleb, chlupał cienką zupę, spał na wiązce słomy w obórce. Pieniądzy nie otrzymywał — na pieniądze nie umawiali się przecież. Stary jak to stary, w kościach go łamie — radby sygnąć na drewnianej przyzy. Ale Kazmierczak katego-rycznie odmawiał desek. Dołóż je-szcze pół snopka słomy, z desek zbijemy ci solidną trumnę. Nie zapła-sał również steranego ciężką pracą robotnika w Zakładzie Lecznictwa Pracowniczego, niby że „dla cho-rych dziadów i tak nie będzie miej-sca”.

Ale przyszła kryska — na Maty-

wiada, że zamknięcie, drugi że otwarcie, trzeci że teraz przeksięgo-wuje się dniówki na amerykańkę, czwarty znowu że do kartoteki...

Myślimy: — jak urzędniki tak zganiają z jednego na drugie, to coś wróży niedobrego. Niekiedy z nas zaczęli sobie na karteluskach zapi-sywać, ile to dniówek wypracował, ale myślicie że mogli się doliczyć? Podniósł się więc alarm, ocknęła się z drzemki (od roku czasu Organiza-cja Podstawowa. Odkryto się pierw-sze (od roku) walne zebranie i rze-czywiście stwierdziliśmy, że nie z dniówek nie zostało zapisane, ani w remanencie, ani w amerykańce, ani w kartoteczce, tudzież w otwar-cu i zamknięciu, ani też w kśgówkach członkowskich, które pokryte ku-rzem leżały zamknięte w biurku przewodniczącego Kwiatkowskiego. Zresztą, jak miał zapisywać dniów-ki, kiedy od czasu przyjazdu z kur-su, nigdzie na pole nie wychodził. Nie wiedzieli ile kto pracował, ale za to planowali, planowali...

Od tego planowania — na amery-kanke, remanencie, kartoteczce — za-bolała spółdzielnia „głowa”. Lecz ręce, całe szczęście, okazały się zdrowe. Głowę żeśmy zmienili na nową. I chyba robota teraz pójdzie inaczej.

Maciej Kobiera



skali! Ostatnio bezczelny kulak po-sunął się w swym wyzysku tak da-lece, że zaczął za odpowiednią o-platą „wypożyczać” swą siłę na-jemną innym bogaczom. Zmuszono więc Czarnieckiego do roboty przy zniżkach i omiotach u bogacza Skł-pińskiego, Kulsiaka i innych.

Dopiero wtedy obudziliśmy się. Poszło w ruch nasze koło ZMP, po-ruszyła się Gminna Rada Narodo-wa, do Zapola zjechała komisja Zw. Zaw. Pracowników Rolnictwa z inspektorem pracy. Narobili tyle szumu, że nasz Kazmierczak scho-wał się ze strachu do dymnika, ino mu czubek głowy było widać.

A rezultat tych odwiedzin? Ze złamanym sercem musiał bezczelny bogacz wypłacić Czarniekiemu zaległe pobory i równowartość or-dynarii na łączną sumę 7.074 zł. A obecnie za potworny wyzysk odpow-iednie jeszcze przed obliczem proku-ratora.

Agnieszka Wojtasz

KSIAŻKI NADESŁANE

Włodzimierz Michajłow — Nauka Związku Radzieckiego kraju socja-lizmu — str. 37.

T. Marchlewski — Krytyczny przegląd badań nad drożdżami — str. 27.

Huta „Częstochowa” pracuje — str. 37.

W. K. Arsenjew — Po kraju Uszuryjskim — str. 408.

W. Jeruzalimski — Obok kiero-wcy — str. 328.

Karol Koranyj — Powszechna hi-storia państwa i prawa w zarysie — str. 150.

Eliza Orzeszkowa — Szara dola — str. 87.

J. Dembowski i M. Olekiewicz — Prawidłowość i przypadkowość — str. 34.

Wiktor Woroszyński — Pierwsza linia pokoju — str. 62.

M. Rubinstein — Militaryzacja ekonomiki krajów kapitalistycznych — str. 32.

IRENA MAZURKIEWICZ

Zlewnia mleka

W gminie Oskubki jest zlewnia

mleka,

Daremnie zlewnia na mleko czeka

Czemu?

Przyczyny tego są różne, Iż banie w zlewni stoją wciąż próżne

A najważniejsza?

Smutna jest nader,

Bo gospodynie nie mają wiader.

(Proszę, by w prasie skargę ogłosić,

Ze mleka w garście nie można nosić).

Czy wiader nie ma w gminnej

spółdzielni?

Wiadra nie kupisz tam bez patelni,

Imbryka, albo innego staćku.

(Chcesz, nie chcesz — bierz i statek

w przydatku

To „kalkulacja”?

To polityka!

Warto zapytać by kierown'ka!

Nie kupi wiadra z przydaćkiem

biedniak,

Nie kupi średniak,

Lecz kupi kulak:

On wiadra ciuła.

Jemu przydatek także nie wadzi.

Bo inne statki również gromadzi.

Gdy komuś w'e'ka bez wiadra bieda,

Z zyskiem mu kulak wiadro

odsprzeda.

Na targ wywiezie imbryk, nate'nie.

Podwójne cenę weźmie beczelnie

I z procedur tego wykłóci

Nieży „zarobek”, nieży procencki

Tenże sam kulak, gdzie da się,

szeska,

By nie dostarczać do zlewni mleka,

Bo cena będzie za mleko niska.

Lepiej wynosć na targowiska.

Lub robić masło. On masło kupi.

(Kupi! — A skórę przy kupnie złupi).

*

Gdy kulak robi draństwa i kanty,

Wraz z kierownikiem, który jest

„anty”,

To nie dziwnego, że zlewnia mleka,

Daremnie dotąd na mleko czeka.

Ale nie będzie dłużę czekała

O spekulacji uchwała zdziała.

Ze ów kierownik do rządu „anty”,

I kulak — oha te spekulanty

Którzy skubali gminę Oskubki,

Pójdą obydwaj teraz do „ciupki”.

Irena Mazurkiewicz

Bez oliwy... czy polityki klasowej

„Bez oliwy ani rusz!” — oświad-czył nam, małorolnym chłopom ze wsi Gieczna, kierownik SOM-u ob. Józef Cmielak, po czym zamknął motor spalinyowy od miocarni w szopie i poszedł dumać do domu nad sposobami zdobycia oliwy. Du-mał bezskutecznie wiele godzin, a tymczasem małorolni rozbiegli się po wsi, zaglądali do każdej chaty-py i pytali: — „macie oliwę?... Bo bez oliwy ani rusz!”

Oliwa znalazła się u gospodyni, lecz tylko do smażenia racuchów. A przecież na takiej motorek nie pójdzie.

Wesć o oliwie dotarła do PZGS-u w Łęczycy. Strapił się szanowny urzędnicy. Wiadomo, że bez oliwy... chłopie młócić nie mogą. Rada w radę, postanowili drogą służbową — najpierw przez maga-zyn PZGS-u, potem przez GS, po-tem przez filię GS-u, z filii do SOM-u, a z SOM-u do chłopów — oliwę dostarczyć. „Za tydzień be-dziecie mieli ją na miejscu” — przyrzekli uradowani, jakby roz-cięli węzeł gordyjski.

Wrócił nasi chłop do Gieczna, patrzył i oczom nie wierzył. Moto-rek z SOM-u pracuje, aż się kurzy tak młóci somowska maszyna u... bogacza Chylińskiego. A kierownik SOM-u zaciera ręce z radości — „ani godzinki przestoju!” — powiada do małorolnych chłopów.

Potem maszyna młóciła u boga-tego teścia Chylińskiego. Ten też miał oliwę. Skąd, trudno dociec. W każdym razie nie otrzymał jej drogą służbową. A myśmy czekali da-lej na „przesyłkę oliwną” z PZGS-u. W rezultacie kulacy na skup przyjechali pierwsi, przy-wieźli zboże w terminie. Ale kie-rownik SOM-u ob. Cmielak nagro-dy za to nie dostanie, ani PZGS z Łęczycy.

Wojciech Stelmach

Górą kobiety

Choć w Polsce jest znaczne wię-ce kobiet niż mężczyzn na razie rządzą (lub wydają im się, że rzą-dzą) mężczyźni.

Dlatego też niejako się czuły chłopcy w pewnej miejscowości w województwie olsztyńskim, kiedy ja ochrzczono nazwą Babsk. Zam-e-rzałi nawet zwrócić się do władzy o zmianę nazwy by położyć kres prześmiewcom sąsiadów.

Ale jest w tym Babsku zespół PGR. Ma sporo sumiennych i wy-różniających się w pracy robotni-ków, takich jak Jan i Aleksan-der Szymański, Józef Wesołowski, Jan Dominik, Stanisław Jagielski i wielu innych. Cóż, kiedy jest ich wciąż jeszcze za mało!